stańczyk

PISMO KONSERWATYSTÓW I LIBERAŁÓW

5 /1987

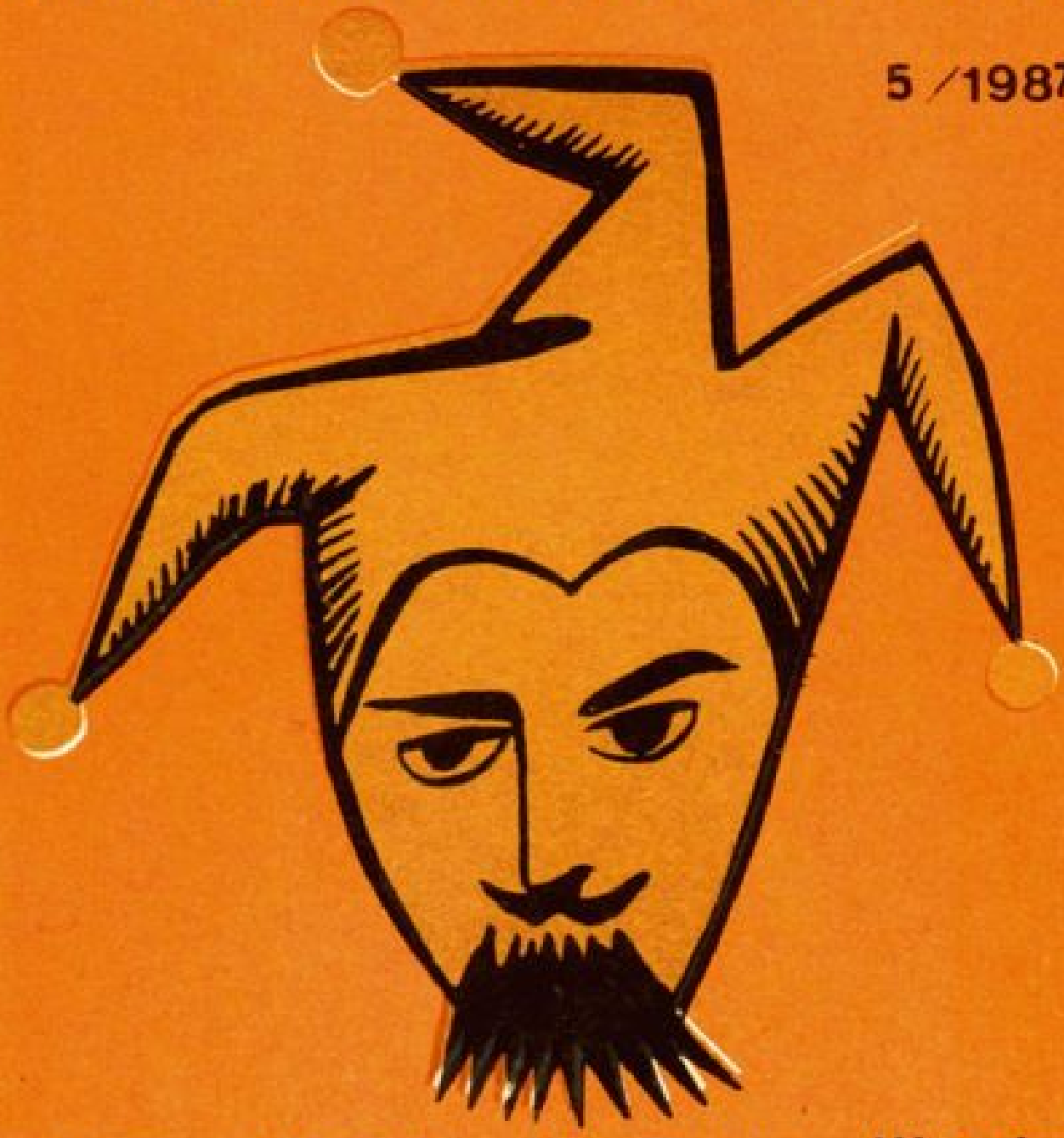

Kraków - Poznań - Warszawa - Wrocław

"Wszyscy ludzie Prezydenta"- list p.Maurycego ROJSKIEGO.....8

JAK NIE KŁAMAĆ? 5
Piotr WIERZBICKI - Kłęby. 6
Aleksander PASZYŃSKI - Uwarunkowania, czy obiektywne? 7
CO NAM FUNDUJE FUNDUSZ 14
Edmund NOWAK 65

F Y T A N I E 66
Zatrzymane w Cenzurze teksty: JKM (str.67) i KISIELA.....69

LIBERO:
Komentarz 15
"POLOWANIE NA LEWICOWCA" 16
Janusz KORWIN-MIKKE - Gangsterzy i filantropi (na 8. marca)..... 17
Henryk BORUCIŃSKI - Renta decyzyjna 20
Adam T. BĄKOWSKI - Chcesz nie bać się władzy? 23
BIBLIOTEKA KLASYKÓW (Oxiński) 25
List do redakcji 26
Jerzego MIKKE wspomnienie o Jerzym ŁOJKU 27
Julian TUWIM - " P i e ś ń o b i c i u " 29

KOLIBER:
"CZEGO SIĘ NAUCZYLIŚMY?" - Od Redakcji 31
Maurycy ROJSKI - Myśli o nowej Prawicy (II). 32
"CHICAGO BOYS" 38
"Kto i dlaczego nie lubi kapitalizmu?" 40
GIEŁDA 42
Libertarianin Wrocławski - Wolność zamiast prawa jazdy 44
O dalsze umacnianie, pogłębianie, rozszerzanie i kontynuowanie...44
Erazm MAJEWSKI - Wiek kapitalizmu / A N T Y K W A R I A T /. . . 46

KONAR:
Artur ECKSTEIN - Tajemnica Artura Koestlera 49
M.CZELNY - O kłopotach z pisaniem antyutopii... 53
Gary HART - Nie tylko ekonomia 59
Serendipity Q. JONES - Zagraj to jeszcze raz, Cory! 63
PRZEDSTAWIAMY (CATO Institute) 64

Listy ...

W 4-tym numerze "Stańczyka" /część wrocławska - KOLIBER/ przy okazji omawiania programu Polityki Polskiej Rex proponuje, aby szef państwa /prezydent/ sprawował władzę dożywotnio. Propozycja niewątpliwie godna rozważenia, choć z góry pragnę zaznaczyć, że jestem jej przeciwnikiem.

Rex odrzucając ograniczenie kadencji naczelnika państwa pragnie, jak się domyślam, zapobiec powtarzającym się periodycznie /np. co cztery lata/ wybuchom demagogii, szaleństwom wyborczej agitacji, licytowaniu się kandydatów w składaniu coraz to bardziej ponętnych dla mas obietnic, zatruwaniu życia społecznego atmosferą walki /słowo "kampania" dobrze oddaje ten stan rzeczy/. Jak trafnie pisał Julian Bąbiński: "Każde wybory są nowym kubłem pomyj wylanym na duszę społeczeństwa" /"Encyklopedia monarchizmu". Poznań 1928/.

Rozumiem obawy Rexa, bo zgadzam się z Bertrandem de Jouvenel, iż "każda zmiana reżimu, a w mniejszym stopniu każda zmiana rządu jest odtworzeniem na większą lub mniejszą skalę inwazji barbarzyńców" /"O władzy, jej naturze i historii jej wzrostu"/. Ale czy dożywotnia prezydentura będąca w istocie monarchią elekcyjną, zmniejszając częstotliwość wyborów głowy państwa, które jak chce Tocqueville "niemal zawsze powodują zachwianie równowagi w wewnętrznej polityce państwa", nie sprawi równocześnie, że ów "moment kryzysu narodowego" stanie się jeszcze bardziej groźny?

Wyżej cytowany autor stwierdza: "Najpoważniejszym argumentem przeciw elekcji głowy państwa jest, że tak bardzo rozniecą ona indywidualne ambicje i rozpamiętnia ludzi w pogoni za władzą, że skłania ich do posługiwania się siłą, kiedy legalnych środków już nie staje". Jasne jest, że im więcej prerogatyw posiada władza wykonawcza, tym bardziej jest ponętna, tym silniej pobudza ambicje pretendentów do władzy, tym większe znajduje oparcie w ambicji mnóstwa ludzi mających uczestniczyć w rządzeniu po zwycięstwie ich własnego kandydata" /"O demokracji w Ameryce"/.

Rex przyznaje prezydentowi, obok prawa dożywotniego sprawowania władzy, prawo sankcji ustaw i rozwiązywania parlamentu oraz oddaje w jego wyłączną kompetencję politykę zagraniczną i obronną. Jest to więc władza niemała. Znajdzie się przeto wielu graczy zdecydowanych na wszystko, którzy celem swej żądzy i usiłowań ambitnych uczynią Miasto Rozkazu, Miejsce Panowania, Serce Sprawiedliwości, Niebo Ambicji.

De Tocqueville pisze: "Im bliższe są wybory, tym bardziej ożywiają się intrygi, podniecenie się wzmaga i obejmuje coraz szersze kręgi społeczeństwa". I dalej: "Cały naród popada w stan rozgorączkowania, wybory stają się tematem dnia prasy i prywatnych rozmów, celem wszystkich przedsięwzięć i przedmiotem wszystkich myśli, jedyną sprawą chwili". Jeśli dzieje się tak przy wyborach na kadencję czteroletnią, to jaką temperaturę osiągnęłyby namiętności polityczne, jaką zaciekłość i bezwzględność wykazywaliby pretendenci, gdyby gra toczyła się o tak wysoką stawkę, jaką jest władza dożywotniego prezydenta? Przecież dla konkurujących o najwyższe stanowisko w państwie wybory byłyby zapewne jedyną szansą w życiu. Można czekać na następną okazję cztery lata, może siedem lub dziesięć, ale nie np. dwadzieścia pięć. Trzeba więc wszystko postawić na jedną kartę, zagrać va banque. Konkurenci będą

przekonani, że jedynie kierowanie się zasadą "wszystko albo nic" może przynieść sukces. Ale czy uzdrowi to obyczaje polityczne? Raczej nie. Constant uważa, że "elekcje dożywotnie podobne są dosyć wszystkim innym elekcjom". Według mnie nie są podobne, są gorsze i choć rzadsze, to o wiele groźniejsze dla stabilności politycznej i spokoju wewnętrznego.

Jestem przekonany, że jedynie dziedziczna monarchia posiada tak upragnioną przez Rexa zaletę "stałości instytucji i ciągłości akcji".

Jeśli dożywotni prezydent powoływany jest w wyborach powszechnych, to może nim zostać, przynajmniej teoretycznie, każdy obywatel, a wówczas groźba destabilizacji politycznej staje się nader poważna, a upadek obyczajów politycznych spowodowany zaciekłą walką pretendentów czyni nieuchronnym. Genialność monarchii dziedzicznej polega na tym, że król jest poza konkurencją, a stanowisko na szczycie hierarchii władzy poza zasięgiem ambicji politycznych.

"W miłości do Monarchy nie ma zazdrości - bo przecież j a na pewno nim nie zostanę, czego więc mam zazdrościć" /Szymon Dzierzgowski, "Demokracja a monarchia", Warszawa 1925/. O prezydencie tego powiedzieć nie można. Zazdrość, niechęć lub nawet nienawiść pokonanych rywali, wrogość zawiedzionych zwolenników sprawia, że miłość, szacunek, podziw i zaufanie, jakimi cieszy się monarcha nie będą miały do niego dostępu. Posłuszeństwo wobec wybieralnego prezydenta jest czymś wyrozumowanym i myślowo uzasadnionym nie mając w sobie nic z naturalnego i w pewnym sensie irracjonalnego posłuszeństwa wobec ojcowskiej władzy monarchy. Wszak ojca się po prostu ma. Wybrać go nie można.

Dodajmy jeszcze, że gdy sukcesja jest czymś z góry wiadomym, to atmosfera polityczna nie jest, jak byłoby to w przypadku dożywotniego prezydenta, zatruta bardziej lub mniej skrywanym oczekiwaniem na śmierć naczelnika państwa.

Prezydent choćby dożywotni, ale wybierany w powszechnych wyborach pozostaje zawsze człowiekiem jakiejś partii. Tylko uzależniając się od stronnictwa czy koterii może zdobyć władzę. Musi korzystać z usług machiny wyborczej i opierać się na "zorganizowanej miłości". Pragnąc zdobyć większość głosów składa obietnice ulegając zachciankom tłumu. Dlatego nigdy nie zdobędzie powszechnego uznania, a jego moralny autorytet kwestionowany będzie przez wrogów i osłabiony przez niemożność spełnienia wyborczych obietnic. W przeciwieństwie do króla, który od chwili urodzenia znajduje się w innym położeniu niż zwykli śmiertelnicy, prezydent /monarcha elekcyjny/ był przed wyborem osobą prywatną. Ci, którym był niegdyś równy nie zniosą łatwo jego wywyższenia i otoczą go zawiścią żywiąc w głębi duszy pragnienie jego poniżenia i z tego poniżenia czerpiąc złośliwą satysfakcję. Jedynie monarcha dziedziczny odgrywać może rolę czynnika nadpartyjnego będąc władzą zwierzchnią i neutralną zarazem. Król, jak pisze Constant, "nie jest człowiekiem, jest władzą neutralną, oderwaną, wyższą nad regiony burz i nawałnic". Prezydent dożywotni /monarcha elekcyjny/ owe"regiony burz i nawałnic" z konieczności zamieszkuje, jego neutralność tak "niezbycie potrzebna do wszelkiej regularnej wolności" jest fikcją. Postrzegany jako członek stronnictwa nie może stać się "centrum narodowych sentymentów", wyniesiony do władzy przez anonimowy proces wyborczy nie posiada, w przeciwieństwie do monarchy dziedzicznego, tej naturalnej wyższości cechującej osobę, którą otacza urok przeszłych pokoleń, wybranych przez równych sobie nie nabędzie nigdy od-

ległości i dystansu będących warunkiem powagi i wzniosłości, obrzucony błotem w kampanii wyborczej nie wzniesie się nigdy ku miejscu, w którym panuje majestat i piękno.

Władza królewska uświęconą będąc jest tym samym nietykalną. Prezydent zaś stworzony jest przez ludzi i przez nich zniszczony być może. Jak pisze de Maistre: "król wybieralny może być zawsze usunięty i pod sąd oddany. Brakuje mu bowiem tego świętego piętna, które tylko dziełem czasu być może". Ciekawym, jak Rex zamierza rozwikłać węzeł gordyjski, który sam zawiązał czyniąc prezydenturę dożywotnią, a nie rozstrzygając jak ma wyglądać odpowiedzialność prezydenta. Król nie przed wyborcami jest odpowiedzialny, bo nikt go nie wybierał. Jego władza jest uświęcona przez Boga i czas. Pozostaje przeto nietykalny bowiem "źle czynić nie może". Ale czy "wybraniec ludu" jakim jest prezydent może pozostać nietykalny? I cóż mu po dożywotnim sprawowaniu władzy jeśli p r z e d narodem, a nie z a naród przed Bogiem będzie odpowiedzialny? Jakże będzie mógł sprawować władzę przez długie lata jeśli skompromituje go intryga przez wrogów zmajstrowana? Czy Rex dopuszcza usunięcie prezydenta lub jego ustąpienie? Jeśli nie, to czy mógłby on właściwie kierować nawą państwową wbrew opinii tych, co go wybrali /mają oni prawo do takiej opinii/, pozbawiony autorytetu, ośmieszony i skompromitowany, przegrywający w politycznych walkach? Zaś jeśli tak, to znika zachwalana przez Rexa stabilizacja kierunku polityki i stałość politycznych i militarnych sojuszy. W praktyce kadencja prezydenta będzie ograniczona, choć czas jej trwania nie będzie z góry naznaczony. Odziedziczy on przeto wszystkie wady "normalnej", nie dożywotniej prezydentury. Rex zakłada, że "perspektywa prawnie usankcjonowanych i długich rządów znacznie krępuje dzierżyciela władzy". Niewątpliwie, ale jedynie w przypadku monarchy dziedzicznego, nieusuwalnego i nietykalnego.

U prezydenta dożywotniego /monarchy elekcyjnego/ zagrożonego usunięciem i odpowiedzialnego przed "narodem" zbyt silna okazać się może pokusa utrzymania się przy władzy za wszelką cenę i nieliczenia się z opinią, zbyt łatwo przychodzić mu może pozbywanie się intrygujących przeciw niemu wrogów przy pomocy kontr-intryg lub innych mniej szlachetnych sposobów. Gdy gra idzie o wysoką stawkę nie pamięta się o zasadach moralnych i przestrzeganiu reguł gry politycznej.

Wszystkie nieporozumienia między mną a Rexem biorą się zapewno stąd, iż zapomina on, że autorytet prawowitej monarchii to nie to samo, co autorytet republikańskiego bohatera chwili, choćby ta chwila trwać miała długie lata.

Rex zdaje się nie uwzględniać istotnego faktu, że człowiek mający przez tak długi czas stać na szczycie hierarchii władzy i obdarzony dużymi kompetencjami musi być "właściwym człowiekiem na właściwym miejscu" a więc posiadać odpowiednie walory osobiste i przygotowanie do pełnienia tak ważnej funkcji. Czy jednak może on sprostać stojącym przed nim zadaniom nie będąc, tak jak monarcha dziedziczny, od dziecka przygotowywany do "królewskiego rzemiosła"?

Jak pisze lord Hugh Cecil "monarcha dziedziczny różni się zasadniczo od wybieralnego prezydenta, otacza go urok całych pokoleń władców, od których pochodzi, a co ważniejsze, posiada od najmłodszych lat nabytą wprawę w postępowaniu, odpowiednią do swej godności. Nie zwraca się uwagi dostatecznej na tę dodatnią stronę dziedzicznego urzędu, a jednak tylko u dziedzicznych władców możemy się tej wprawy spodziewać. Ta sztuka jest im wszczepiana od najmłodszych lat" /"Konserwatyzm"/. Następca tronu oprócz wczesnych ćwiczeń w osobistych formach

od dziecka styka się ze sprawami państwa i wtajemniczany jest w arkana polityki . Wybieralny prezydent nigdy nie posiądzie owego "taktu wewnętrznego", nie nauczy się "królewskiego instynktu" tak nieodzownych dla właściwego sprawowania długoletniej władzy. "Dziedziczny rozum stanu" nie stanie się nigdy jego udziałem.

Rex uważa również, że przy dożywotniej prezydenturze "interes państwowy znalazłby silne oparcie w interesie własnym" naczelnika państwa. Ale Rex myli się, bowiem jak słusznie zauważa de Maistre: "monarcha wybieralny używa zawsze praw służących, że tak powiem, dzierżawcy: myśli więc tylko o sobie - bo państwo chwilową jest tylko jego własnością. Prawie zawsze jest mu obcy duch prawdziwie królewski, a święta cecha nie wyryta lecz namalowana tylko na jego czole, znika za najlżejszym starciem" /"O papieżu"/.

Naturalny egoizm dzierżyciela władzy tylko wówczas stanowić może oparcie dla interesu państwa gdy sięga poza życie jednostki, a więc wtedy gdy znajduje przedłużenie w egoizmie rodzinnym. O interes państwa naprawdę może dbać tylko ten, kto wie, że po jego śmierci władzę obejmie jego dziecko.

Prezydent, dożywotni czy nie, będzie miał zawsze skłonność do nieprzejmowania się tym, co będzie po jego śmierci. Natomiast żaden dziedziczny monarcha, którym kieruje ojcowska miłość i chęć zapewnienia dzieciom jak najlepszej przyszłości powiedzieć nie może: "po mnie choćby potop".

Jedną z podstawowych trosk Rexa jest zapewnienie stałości politycznych i militarnych sojuszy. Sądzi on, że dożywotni prezydent dbałby o nie najlepiej będąc ich osobistym gwarantem. Ale to według mnie nazbyt krucha gwarancja. Stałość sojuszy najmniej jest zagrożona wówczas, gdy traktaty polityczne opierają się na rodzinnych koligacjach. A do tego potrzeba nie"prezydenckiego dożywocia", ale związków dynastycznych i małżeństw między osobami z rodów królewskich.

Dożywotni prezydent nie zapewni, jak to imaginuje sobie Rex, "obiektywizmu i ciągłości" w polityce zagranicznej, bowiem zaprojektowanie i budowa gmachu tejże polityki zamierzone być muszą nie na jedno ale na wiele pokoleń. A tego bez dynastii osiągnąć niepodobna. Tylko monarcha mający na względzie byt własny i byt swej rodziny może swój własny interes utożsamić z interesem państwa chroniąc w ten sposób interes poddanych. Dbając o własne bezpieczeństwo dba również o pomyślność swego ludu, który wiedzieć powinien, że "bezpieczeństwo Monarchii jest rękojmią wolności".

Koncepcja dożywotniej prezydentury wysunięta przez Rexa wydaje mi się nie do przyjęcia z dwóch jeszcze powodów.

Sprawa pierwsza. W przypadku "normalnego" republikańskiego prezydenta wybieranego na ograniczoną kadencję jego władza jest rezultatem celowej i racjonalnej /w sensie świadomie zamierzonej/ akcji politycznej. Czas trwania jego władzy określają kryteria przyjęte niewątpliwie arbitralnie, ale ustalone przy pomocy reguł uznawanych za racjonalne /tyle a tyle lat i nie więcej, ponieważ.../. Teoria demokratyczna zakłada poza tym, że przy wyborach żadnej roli nie może odgrywać przypadek. Dlatego sięgnięto do metod matematycznych. Prezydent musi uzyskać większość głosów czyli połowę + 1. Kryterium równie jak inne arbitralne, ale przyjęte z powodów uważanych za racjonalne.

Całkowicie odmiennie ma się sprawa monarchii dziedzicznej. Wiemy jedynie, kto zostanie królem /a więc to, czego nie wiemy w przypadku wyborów prezydenckich/. Nie wiemy jednak

jaki będzie nowy władca, kiedy obejmie władzę i jak długo będzie rządził. O tym decyduje przypadek /Los/. Nawiasem mówiąc Rex będąc liberałem i wierząc w spontaniczny, nieplanowany, niekształtowany odgórnie świadomą wolą człowieka ład społeczny powinien monarchię uznać za idealne spełnienie swych zasad. Demokracja to przykrawanie rzeczywistości społecznej do dogmatów abstrakcyjnej doktryny, monarchia dziedziczna natomiast to przeniesienie zasad spontanicznego ładu w sferę polityczną. Prezydenta zaplanować można, króla nie.

W Rexa koncepcji dożywotniej prezydentury świadoma wola eliminująca przypadek /Los/ ma określać wybór naczelnika państwa, a przypadek /Los/ ma rozstrzygać o tym, jak długo pozostanie on u władzy. Ale po co mieszać przeciwstawne zasady? Czy nie lepiej opowiedzieć się za którąś z nich /sam opowiadam się za Losem/. Przyznam, że wolę szczerych demokratów-doktrynerów niż niby-monarchistów w rodzaju Rexa. Okrzyk: "Umarł prezydent, niech żyje prezydent, którego wybierzemy" brzmi w moich uszach nazbyt zgrzytliwie.

Drugie o wiele poważniejsze zastrzeżenie dotyczy wiary Rexa, że proponowany przez niego układ może zagwarantować wolność jednostki i obronić ją przed tyranią. Wiara ta ma swoje źródła w iluzorycznym przekonaniu, że podział władz a la Montesquie oparty na konstytucyjnych przepisach może zapewnić trwałe rządy Prawa i poszanowanie wolności człowieka. Jednak podział taki bardzo szybko staje się pozorem tylko. Rzeczywisty podział władz, zbawienny dla wolności istnieje jedynie wówczas, gdy władze te mają inne źródła, gdy reprezentują inne siły społeczne. Organizują się wtedy nawzajem, a ich wzajemne ograniczenie jest dobrą rękojmią wolności. U Rexa władza zarówno prezydenta jak parlamentu i rządu jest emanacją tej samej siły tzn. tak zwanej woli ludu. Kiedy najwyższym zwierzchnikiem jest król nie pochodzący z wyboru, a parlament powoływany jest w wyborach powszechnych /najlepiej przy zachowaniu pewnych cenzusów/ kiedy ministrów mianuje i odwołuje król, a Izbę Wyższą tworzy dziedziczna arystokracja, wtedy dopiero mówić można o podziale władz. Konflikty jakie wówczas mogą się pojawić, są konfliktami między ambicjami pojedynczych ludzi lub grup ludzkich. Gdy natomiast władze są emanacją tej samej siły czyli "woli ludu", to mamy do czynienia z permanentnym i niezwykle szkodliwym konfliktem interesów socjalnych. Koncepcja Rexa nie zawiera żadnych, oprócz papierowych, gwarancji, które by nas zabezpieczały przed faktycznym, choć często ukrytym, połączeniem się prezydenta, parlamentu i rządu w jeden absolutystyczny organ. Scenariusz zwykle wygląda podobnie: od woli całości /narodu, społeczeństwa/ do woli większości, od woli większości do woli niewielu, od woli niewielu do woli jednostki /tyrana/.

Gdy przyglądam się myślowym eksperymentom Rexa to dostrzegam nie tryumf wolności i rządów Prawa, ale cienie Cezarów, Bonapartych, Stalinów, Roosveltów, Mussolinich, Piłsudskich, cienie bękartów demokracji.

Rex należy niewątpliwie do przyjaciół wolności. Niech więc przypomni sobie słowa G. Ferrero: "Zanikła mistyczna wiara w boskie pochodzenie władzy królewskiej, ale zamiera także cześć oddawana wolności" /"Przemowy do głuchych"/.

Maurycy Rojski

---

*Wg. ankiety IPSOS - Le POINT 17% Francuzów opowiada się za powrotem do monarchii. 7 lat temu: tylko 2,3%. Skok OGROMNY !!

Jak nie kłamać?

Tym razem sam p. Jerzy Urban, minister zresztą, na konferencji prasowej kilka tygodni temu powiedział rzecz szokującą, jak to mu się często zdarza. Powiedział bowiem, że międzynarodowe konwencje podpisane przez Polskę nie obowiązują, jeśli są sprzeczne z jej prawem wewnętrznym.

Jest to kłamstwo. W zasadzie. Jeśli Sejm lub Rada Państwa ratyfikuje konwencję, to ma ona dokładnie taką samą moc jak ustawa Sejmu lub Dekret Rady Państwa. Wszystkie poprzednie ustawy tracą moc w częściach sprzecznych z konwencją - chyba, że konwencja sprzeczna jest z konstytucją. W tym wypadku w myśl dziwnych polskich obyczajów ważna jest ..... konwencja, dopóki o sprzeczności nie orzeknie Trybunał Konstytucyjny!

Więcej. W myśl Konwencji Wiedeńskiej nawet ustawy p ó ź n i e j s z e od konwencji nie naruszają jej mocy, o ile państwo nie wniesie zastrzeżenia do protokółu konwencji. Tu skłonny byłbym jednak uznać, że nie jest to najrozsądniejszy przepis, i gdyby tylko o to chodziło pseudo-prawnikom z PRL-u, to machnąłbym ręką.

Pan minister Urban twierdzi jednak wprost, że zawieranie z Polską jakichkolwiek konwencji jest bez sensu, gdyż Polska wcale nie musi ich uwzględniać mimo ratyfikacji. W takim razie są dwie możliwości:

1. Jest to prawdą. W takim razie niedorzecznik zdradził najsilniej strzeżoną tajemnicę państwową - i powinien wylądować u prokuratora;
2. Jest to oszczerstwo wobec władz polskich, które jak najbardziej chcą przestrzegać konwencji. W takim razie p.Niedorzecznik rozpowszechnił fałszywą wiadomość mogącą wyrządzić istotne szkody interesom PRL /b. istotne: kto podpisze umowę z kimś, kto uważa, że podpisane umowy go nie obowiązują?!/ - i znów powinien powędrować do prokuratora.

To wszystko prawda. A mimo to p. Urban powiedział prawdę!
Dlaczego? Odpowiedź na str.6

*

Teraz z innej beczki. Przypuśćmy, że w Polsce władze nie mogą sobie dać rady z podziemiem wydawniczym i ponownie wprowadzają zasadę, że podziemny druk nie jest wykroczeniem, a przestępstwem, za które grozi parolatnie więzienia. Jak zareagowałaby na to opozycja spod znaku "KOREJ"?

/Po odpowiedź nikogo nie posyłam bo wiadomo: oskarżeniem o wprowadzenie zamordyzmu, niesłychanego terroru: knebel, krata, knut ... i wszystko inne, i wszystko słusznie./

Teraz właściwe pytanie: na jesieni Roku Pańskiego 1985 rząd dekryminalizuje podziemną działalność wydawniczą traktując ją jedynie jako wykroczenie zagrożone grzywną. Jak reaguje na to zawodowa opozycja? Odpowiedź na str.14

Adam T. Bakowski NA MARZEC '68 w PRL

Jankiel wyjechał
Cymbały zostały

Z UWAGI NA DŁUGOŚĆ ARTYKUŁU P.ALEKSANDRA PASZYŃSKIEGO - ORAZ NA OBJĘTOŚĆ "KOLIBRA" - TEN NUMER "STANCZYKA" LICZY 72 STRONY. STRONY 65-70 NIE NALEŻĄ DO "KOŃARU", LECZ POCHODZĄ OD REDAKCJI "STANCZYKA".

Piotr Wierzbicki

KŁĘBY

Nowy widok na warszawskiej ulicy: ustawiającą się przed kioskiem "Ruchu" koło dwunastej w południe i znikającą koło czwartej długą cienką kolejkę po "Express" zastąpił przyklejony do kiosku "Ruchu" od rana do wieczora, wciąż odnawiający się i kłębiący tłum palaczy. Kłębią się tu, żeby potem w domu puszczać kłęby. Mało kto już w Warszawie kupuje gazetę. Każdy kupuje papierosy. Student i emeryt, kobiecina z siatką na zakupy pełną bochenków chleba i młoda paniusia, która z dzieckiem wyszła na spacer, sklepowa ze sklepu spożywczego i robotnik z sąsiedniej budowy. Mówią, że Polacy kupują teraz dużo wódki. Kto tam widział Polaka z butelką wódki.? Wódkę pije elita: młodzi robotnicy, mężczyźni w średnim wieku po wyjściu z pracy. Wódkę pije arystokracja, bo do wódki potrzebna jest forsa, a ani emeryt, ani student, ani kobiecina z siatką pełną zakupów, ani sklepowa nie kupuje wódki, bo na wódkę nie ma. Ale na papierosy ich stać, papierosów nakupią całą stertę, nakopcą w domu, w pociągu, w gościach i pokażą, że nie wyfrunęli srocze spod ogona. Mówią, że Polacy zażywają narkotyki. Kto widział w Polsce narkomana? Ale palaczy kłębią się całe miliony.

Odjeżdżałem pociągiem z górskiego uzdrowiska. Cały mój wagon z kuszetkami wypełniali wczasowicze i pacjenci z sanatoriów, w zacznej mierze chorzy na astmę, serce i przewlekłe bronchity. Gdy pociąg ruszył, wszyscy runęli na korytarz: żeby zapalić. Obserwowałem ich. To nie było wyjście na papieroska. To było palenie zawzięte, zajadłe, metodyczne. Stali niezmordowanie produkując tę swoją brudną, trującą mgłę przez pół nocy, aż wcisnęła się ona do przedziałów.

W naszym pensjonacie dzieliliśmy w jadalni stolik z sympatyczną starszą panią i jej czteroletnią wnuczką. Dziecko było bardzo chorowite i bardzo inteligentne, a babcia wprawiła nas w zachwyt swym stosunkiem do wnuczki, nacechowanym rzadkim dziś /szczególnie u babć/ pedagogicznym geniuszem. Któregoś dnia poproszono nas, żeby podać starszej pani list. Zapukaliśmy do jej pokoju. Tonął on w kłębach straszliwego, wielodniowego, czarnego, papierosowego dymu.

Palacz dziesięciokrotnie zwiększa ryzyko , że zapadnie na rak płuc. Niepalący mąż palaczki ma dzięki żonie dwukrotnie większe szanse zapadnięcia na tę chorobę. Za granicą ludzie przestraszyli się skutków palenia i palą coraz mniej. Polacy palą coraz więcej Polaków przestraszyć się nie da. Palą więc wszyscy: profesorowie medycyny i urzędnicy, pielęgniarki i działacze, nauczycielki i działacze ochrony przyrody. Gardzą życiem swoim i swoich bliskich. Już jacyś rodzice brydżyści zadymili na śmierć własne dziecko. W pokoju ma być tak jak w pobliżu komina. Nawiasem mówiąc źle to wszystko wróży tutejszym ruchom ekologicznym. Przecież palacz nie podniesie gwałtu o zatrute powietrze. Jak mu nie zawadzają kłęby własne, to mu nie przeszkodzą cudze. Co innego brak papierosów w kioskach"Ruchu". O to będzie zawsze raban murowany.

Jest w tej rozrywce dzisiejszych Polaków jakaś straceńcza pasja samozniszczenia. Coś na lewo, coś na bakier, na przekór. Taka Sarosierra dla ubogich.

---

*

Odpowiedź 1. Bo nie powiedział o "ratyfikowanej" lecz o "podpisanej" konwencji. Podpisana /a nie ratyfikowana/ nie obowiązuje. Fakt.

Tekst zdjęty przez cenzurę z "Tygodnika Powszechnego"

Aleksander Paszyński

Uwarunkowania, ale czy obiektywne?

Każdy zakręt, każda kolejna faza załamania czy choćby konieczność przygotowania nowego planu rodzą słowa-wytrychy dla usprawiedliwienia stanu ogólnej niemożności. Najpierw owe słowa pojawiają się w oficjalnych wypowiedziach, później przenikają do publicystyki ekonomicznej, wreszcie od rana do nocy stają się powszechną strawą propagandy. Reorientacja, restrukturalizacja, dekapitalizacja - wymieniam pierwsze z wykazu zbitek pojęciowych. Po jakimś czasie mało kto już analizuje ich treść, funkcjonują one samoistnie jako skróty myślowe i objaśnienia wszystkiego.

Czy są to słowa puste? Nie, prawdą jest przecież, iż bez głębokiej restrukturalizacji gospodarki nie ma mowy o postępie. Paradoks czy może makiawelizm propagandy sprawia jednak, że te wytrychy niekoniecznie otwierają drzwi do przyszłości, czasem skutecznie je zamykają. Restrukturalizacja jest oczywiście konieczna i im głębsze będą zabiegi temu celowi służące, tym lepiej. Ale zmiany głębokie niejako automatycznie oddalają horyzont celu. Czy bowiem można skutecznie pokonywać kryzys, inflację i wszystkie inne schorzenia gospodarki, skoro jej struktura jest ułomna i mechanizmy niedoskonałe? Trudno, trzeba jeszcze poczekać, spokojnie i precyzyjnie szlifować narzędzia działania i na razie godzić się z niedogodnościami życia. Jest też zrozumiałe, że ktoś musi owe strategiczne plany konstruować i nimi zawiadywać; najlepiej z tego zadania może się wywiązać sztabowe centrum, tymczasem nie wolno go więc osłabiać, przeciwnie - nawet warto wzmacniać jego funkcje.

Pułapka bezradności

Kłopot polega wszak na tym, iż słowa-wytrychy wycierają się dość szybko, stale trzeba szukać nowych. W taki oto sposób przy okazji przygotowywania założeń planu gospodarczego pięciolecia 1986-1990 pojawiło się kolejne zaklęcie, którego kariera jest błyskawiczna: obiektywne uwarunkowania. W komentarzach towarzyszących pierwszej sejmowej prezentacji wariantów planu w połowie 1985 r. pojawiła się nawet supozycja, iż jest to najlepiej opracowana część elaboratu Komisji Planowania. W sposób niezwykle sugestywny uzasadnia ona mianowicie tezę, że koniecznością obiektywną jest wydłużenie kryzysowej fali na lata dziewięćdziesiąte!

Nie jest moim celem - nie ma zresztą takiej potrzeby, wystarczy przecież pobieżna lektura założeń tego planu - udowadniania, iż centrum przedłuża czas trwania kryzysu o co najmniej następne pięciolecie. Okazuje się, że załamanie "planowe" trwać będzie minimum osiem lat /plan trzyletni plus nowe pięciolecie/, a wraz z okresem "anarchii" ponad dziesięć. Być może osiągniemy rekord we współzawodnictwie z gospodarkami "nieplanowymi".

Łatwo teraz zrozumieć, dlaczego musiał się pojawić nowy wytrych i skąd bierze się jego kształt w postaci "obiektywnych uwarunkowań". Uwarunkowania woluntarystyczne pozostawiły w spadku lata siedemdziesiąte. Subiektywne wywołał początek lat osiemdziesiątych, teraz mamy obiektywne. Poczucie bezradności wobec nieszczęść losu zatacza /zresztą zgodnie z tym, co pisałem na wstępie/ coraz szersze kręgi. Z rosnącym przerażeniem czytam na przykład wypowiedzi czołówki oficjalnych reprezentantów polskiej ekonomii, choćby na łamach "Życia Gospodarczego"; przerażenie wywołuje poczucie totalnej niemożności, jaka przebija z ich słów.

Oto na przykład prof. Kuziński powiada:

"... Nie jesteśmy dziś w stanie nawet odpowiedzieć na pytania, jaki będzie zasięg dekapitalizacji majątku trwałego i załamania produkcyjnego w przemyśle przetwórczym ani w roku bieżącym, ani w latach następnych... Według danych GUS, wartość umorzenia w przemyśle przetwórczym kształtuje się na poziomie 250 mld zł, podczas gdy wartość nakładów kierowanych na cele odtworzeniowe w tymże przemyśle nie przekracza 160 mld zł..."

Wtóruje mu prof. Rydygier: "Sprawa inwestycji na cele socjalne i ochronę środowiska: Zgadzam się, rzeczywiście w tej sferze jest bardzo dużo odłożonych potrzeb, tym bardziej jeśli uwzględnić coraz trudniejszy problem zaopatrzenia w wodę. Ale nawet w tej grupie niesłychanie ważnych społecznie inwestycji uchylić się dziś nie da pytania, na ile stać nas na odrabianie tych zaległości..."

A kropkę nad "i" stawia prof. Pajestka dowodząc, że "... łatwo wykazać, że obie te linie /restrukturalizacja gospodarki i procesy innowacyjne - przyp.redakcji/ są u nas jakby niedrożne, zatkane. I to zatkanie tkwi głównie, aczkolwiek nie wyłącznie, właśnie w inwestycjach. W skali makro wpłynęły na to dwa czynniki. Pierwszy to odziedziczony po latach siedemdziesiątych garb inwestycyjny, drugi - spadek stopy inwestowania. Razem one wzięte w istocie nie pozwalają na żaden ruch i stąd półgębkiem mówimy również w oficjalnych wystąpieniach zarówno o zmianach strukturalnych, jak i całej problematyce innowacyjnej..."

Te cytaty pochodzą z dyskusji zatytułowanej "Inwestycyjna arteriosklerora", opublikowanej na początku 1985 roku w "Życiu Gospodarczym". Poprzednia dyskusja - prowadzona również w podobnym, kompetentnym gronie - dała zbliżone rezultaty, które najlepiej scharakteryzuje bezradne rozłożenie rąk - tylko takie skojarzenie narzuca lektura tych tekstów. Bo jak inaczej zareagować na kolejny głos prof. Rydygiera, który powiada tak: "Prof. Pajestka mówi o konieczności podniesienia stopy inwestycji. Z punktu widzenia istniejących potrzeb taką konieczność nietrudno uzasadnić. Ale jak się spojrzy na to od strony podziału dochodu narodowego, to nasuwają się zasadnicze wątpliwości..." Inni dyskutanci dowodzili, że w istniejącej sytuacji ratunkiem jest przyjęty schemat podziału środków inwestycyjnych na kompleksy, w myśl którego na żywność, mieszkania i energetykę idzie po 30% nakładów.
Ale znów prof. Pajestka: „...sprowadzając rzecz do absurdów, kiedy już dojdzie się do poziomu nakładów zero, to cóż rozwiązuje te 30% od zera? Walka o podział dochodu i przywilejów przerzuca się na inwestycje. To sparaliżować może wszelką racjonalność polityki gospodarczej w każdym systemie ..."

Rzeczywiście paraliżuje, mimo wysiłków propagandy utrzymującej, że gospodarka wychodzi już na prostą i mimo że obrazy sklepowych półek jakby potwierdzają te oceny. Analiza oficjalnych statystyk przeczy jednak optymizmowi. W istocie żaden z kluczowych problemów gospodarki nie został rozwiązany, a nawet nie zbliżył się do rozwiązania, poza może kwestią żywności, ale to właściwie jedyny splot autentycznych "uwarunkowań obiektywnych", głównie atmosferycznych. Co gorsze, nie widać szans zatrzymania ruchu w dół, czego właśnie dowodem są perspektywy obecnego pięciolecia. Czy to jednak wynik „obiektywnych uwarunkowań"? Zaryzykuję tezę, iż jest to skutek polityki prowadzonej przez centrum gospodarcze, a nie rezultat nieuniknionych konieczności.

Oczywiście, jeśli uwarunkowania analizuje się w danej chwili, to można uznać, iż mają one charakter jakby niezależny od własnych działań. Jednakże w gospodarce niewiele jest czynników całkowicie niezależnych od polityki ekonomicznej; większość uwarunkowań ona sama tworzy i od jej kształtu zależy możliwość ich zmiany. Zapewne

każda zmiana wymaga czasu, ale im sytuacja trudniejsza, tym zawsze tego czasu mniej i tym niezbędniejsze są działania spektakularne, owocujące możliwie najszybciej, nawet jeśli tworzą też zalążki innych zagrożeń. Jeśli więc formułować zarzuty wobec polityki gospodarczej ostatnich lat, to na pierwszym miejsce wymienić należy pasywność. Okopała się ona w okopach, jakie dziś nazywa „uwarunkowaniami obiektywnymi" i główny wysiłek kieruje na udowadnianie nieuchronności swej pasywności czy też ostrożności, a nie na działach szybciej owe uwarunkowania likwidujące lub choćby ograniczające.

Na obronę swej polityki centrum przytacza zwykle negatywne doświadczenia minionej dekady, której cechą było właśnie nieliczenie się z możliwościami. To prawda, że eksperymentowanie na żywym organiźmie narodu jest zabiegiem nad wyraz ryzykownym, zwłaszcza wówczas, gdy czyni się to bez dostatecznych plenipotencji ze strony społeczeństwa, ale argument ten niewiele jest wart, skoro dotychczasowa polityka gospodarcza doprowadziła do sytuacji, w jakiej już nic - lub prawie nic - nie jest możliwe. Uniknęła ona niespodziewanych wstrząsów, zapewniła minimum biologicznego przetrwania, ale jednocześnie utrwaliła - i czyni to nadal - proces oddalania się kraju od świata i uniemożliwia w jakiejś realnej perspektywie osiągnięcie kontaktu z nim. I to pod każdym względem.

Zaciśnięte szczęki

Znaleźliśmy się ponadto w pułapce bezradności. Jej szczęki zacieśniają się z każdym rokiem, każdym miesiącem nawet. Powtarzam: nie jest to rezultat nieuchronnych konieczności, ale następstwo pasywności polityki gospodarczej. Otóż polityka taka nie może stanowić drogi wyjścia z sytuacji, w jakiej znalazł się kraj. Uproszczając można przyjąć, że pasywność polityki gospodarczej sprowadza się do różnych działań obronnych. Jest to więc obrona przed galopującą inflacją, nierównowagą budżetową, wzrostem cen itd. Jeśli zanalizować wszystkie gospodarcze posunięcia rządu w ciągu ostatnich lat, to łatwo udowodnić, że większość z nich miała właśnie taki obronny charakter. Nawet jeśli każde z tych posunięć z osobna da się nawet jakoś uzasadnić, nawet gdyby okazały się one skuteczne /a przecież takimi nie były/, to i tak rezultaty byłyby widoczne dopiero za kilka lat. Tymczasem czas gra przeciw nam, przeciw krajowi.

Każdy niemal dzień potwierdza narastanie wielorakich zagrożeń. Wróciliśmy niemal do skali luki inflacyjnej, jaka motywowała podwyżkę cen z 1982 roku, właściwie istnieje "obiektywna" potrzeba powtórzenia takiej operacji; tyle że dziś ilość cen zwanych urzędowymi jest mniejsza, więc galopada w obszarze cen umownych i rynkowych trwa nieprzerwanie. Tylko, że cztery lata temu władze miały dwa potężne atuty za sobą: stan wojenny i nadzieję - tego nie należy lekceważyć - części przynajmniej społeczeństwa, iż jednorazowa likwidacja inflacyjnego garbu oczyszcza pole działań reformatorskich. Obecnie tego drugiego argumentu brak szczególnie.

Cenowa hossa przy jednoczesnym, szybko postępującym rozwarstwieniu dochodowym społeczeństwa nierównomiernie powiększa strefy względnego dobrobytu i niedostatku; rozwarstwienie to dokonuje się kosztem środka, który nie tylko się zmniejsza, ale także obniża swój średni standard. Jest to zjawisko tym groźniejsze, że kryzys szybko wkracza do naszych domów. To nowy jego element. Proszę zwrócić uwagę, że większość tego, co posiadamy - mam na myśli wyposażenie mieszkań, zmechanizowany sprzęt, telewizory, pralki, lodówki, samochody itd. - pochodzi najczęściej z połowy lat siedemdziesiątych, to dobra z reguły mają mniej więcej dziesięcioletni okres trwałości i właśnie się on kończy.

istniejąą nikłe szanse odtworzenia domowego majątku, na przeszkodzie staje bariera nie tylko fizyczna, ale również finansowa: Gwałtownie obniża się też ogólny standard tego, co nazwać można cywilizacyjną otoczką codziennego życia - poziom usług, utrzymania infrastruktury miejskiej, czystości otoczenia, służby zdrowia itd. Normą staje się brud, smród i ubóstwo.

Narasta klęska ekologiczna. Nie tak dawno prasę obiegły kolejne raporty o stanie przestrzeni kraju; wynika z nich, że zagrożenie zwiększa się w tempie geometrycznym. Nie miejsce tu na cytowanie makabrycznych szczegółów tych diagnoz, wystarczy podać, że około trzecia część ludności Polski żyje w warunkach sprzecznych z podstawowymi wymogami higieny. Każdy rok o mniejszej ilości opadów grozi totalną suszą, już w 1984 r. kilka miast, w tym Kraków, zaopatrywane było z beczkowozów. Zima tegoroczna, przecież nie najmroźniejsza, ujawniła, że cała infrastruktura miejska sypie się - awarie sieci cieplnej, kanalizacyjnej i wodnej były na porządku dziennym; tegoroczne wcześniejsze jej przyjście jeszcze bardziej rzecz uzmysłowiło.

To są objawy dostrzegalne przez każdego, ale przecież nie tylko one wywołują zagrożenia. Z ostatnich danych wynika, że nadchodzący wyż młodzieży w wieku szkolnym wymaga budowy w drugiej połowie lat osiemdziesiątych co najmniej 2 tys. budynków szkolnych, gdy tymczasem optymistyczne przymiarki inwestycyjne resortu oświaty mówią, że - mimo proklamowania Narodowego Czynu Pomocy Szkole - w najlepszym razie przybędzie 600 takich obiektów.
Ponoć nawet poważnie rozważa się propozycje skrócenia programów szkolnych, by dostosować je do możliwości lokalowych, a nie odwrotnie. Sypie się służba zdrowia, kultura nie może liczyć na żadne poważniejsze inwestycje.

Dramat ogarnia budownictwo mieszkaniowe. Jak pamiętamy, rządowe szacunki minimalnych rozmiarów inwestycji mieszkaniowych operowały liczbą 300-350 tys. nowych mieszkań wznoszonych rocznie jako warunku powstrzymania regresu. Tymczasem buduje się nadal mniej niż 200 tys. Instytut Kształtowania Środowiska oceniał, że niezbędne jest wybudowanie w latach 1981-1990 około 4,3 mln nowych lokali; już wiadomo, że w pierwszej połowie tego okresu przybędzie około 800 tys. - reszta jest milczeniem. Dzieje się tak, mimo że buduje się gołe osiedla mieszkaniowe, bez niezbędnej infrastruktury usługowej. Można przyjąć, że dziś kolejka mieszkaniowa przekracza 20 lat! Luka remontowa i luka infrastrukturalna w miastach gwałtownie się pogłębiła.

Nie lepiej dzieje się w sferze przemysłu. Właściwie należy już przestać mówić o luce technologicznej; jest ona tak duża, że szanse odrobienia dystansu między nami a rozwiniętym światem wydają się bliskie zeru. Tym bardziej, że rozwinięty świat wszedł w nową fazę rozwoju, której symbolem stała się mikroelektronika i roboty przemysłowe. My zaś nie tylko nie czynimy kroku w tym kierunku, ale tracimy to, co kiedyś mieliśmy, nie jesteśmy bowiem w stanie zahamować procesów dekapitalizacji majątku trwałego.

Myślę, że nie warto dalej mnożyć przykładów regresu, każdy właściwie potrafi z własnych obserwacji dowolnie rozszerzać tę listę. Powtórzę jedynie konkluzję, do jakiej ona zmusza: nie udało się rozwiązać żadnego strukturalnego problemu gospodarki kraju, a obecna polityka gospodarcza nie zapowiada takiej możliwości w kolejnym pięcioleciu.

Rozwiązania alternatywne

Centrum twierdzi, że to jednak nie jego wina, tylko "uwarunkowań obiektywnych" i że nie ma alternatywy dla jego polityki.

Zapewne nie ma łatwych rozwiązań przeciwstawnych, ale skoro zastosowane dotąd nie prowadzą do celu, to wszystko powinno nakazywać ich zmianę. Tyle, że póki nie zmieni się sposobu myślenia i weryfikacji wielu obiegowych pojęć traktowanych ciągle jako dogmaty, póty poszukiwania alternatyw mogą okazać się rzeczywiście bezowocne. Nie jest to przecież takie niemożliwe - ostatnio uczestniczyłem w dyskusji, w której jeden z jej uczestników przypomniał, jak łatwo udało się wyeliminować z oficjalnego języka pojęcie kułaka; po prostu priorytet wyżywienia okazał się ważniejszy niż dogmat ideologiczny. Otóż nie ulega wątpliwości, że istnieje sporo podobnych sytuacji, a dramat gospodarczy kraju nakazuje sięgnięcie po tę metodę. Z całą pewnością ujawni się wówczas, że część "uwarunkowań", uważanych dotąd jako obiektywne, jest całkowicie subiektywna.

Proszę nie traktować tego, co dalej, nawet jako zarysu choćby programu działań alternatywnych, to przekracza możliwości publicysty. Chcę jedynie wskazać na skutki myślenia w dotychczasowej konwencji i szanse, jakie stworzyć może jej zmiana. Każda z moich propozycji wzbudzi zapewne opory z różnych stron, nie tylko z pozycji centrum gospodarczego, które z natury nie jest skłonne do ryzyka, ale sądzę, że im przykład bardziej szokujący, tym lepiej dla sprawy. Może zachęci to strategów centrum do poszukiwania rozwiązań bardziej wyważonych, ale jednocześnie skuteczniejszych od tych, jakie obecnie proponują.

Propozycja pierwsza dotyczy oczywistości, mianowicie faktu, iż klucz - a nie wytrych - umożliwiający rozwiązanie polskich problemów gospodarczych tkwi w sferze produkcji, a nie w sferze podziału. W naszej sytuacji bowiem znacznie większe niebezpieczeństwo wywołuje niewykorzystanie potencjału wytwórczego aniżeli inflacja. Mimo niskiej efektywności w większości przypadków koszty własne produkcji zbywalnej są niższe od ceny wytwarzanych dóbr i zawsze cena jest instrumentem bardziej elastycznym od innych. Stąd wniosek, że polityka gospodarcza powinna być nastawiona na skuteczne maksymalizowanie produkcji rynkowej, eksportowej i - generalnie rzecz ujmując - potrzebnej. Osiągnięcie szybkich przyrostów takiej produkcji jest ważniejsze niż cena, jaką za to się zapłaci.

Tą ceną w pierwszej kolejności będzie oczywiście fundusz płac ze wszystkimi tego konsekwencjami, przede wszystkim inflacyjnymi i nierównością w sferze podziału. Tymczasem polityka gospodarcza czyni wszystko, by właśnie blokować płace i w konsekwencji produkcję. Temu celowi służy cały system podatkowy, PAZ /nowa nazwa tego rzeźnika jest mało ważna/ i dziesiątki przepisów ograniczających aktywność gospodarczą. Mimo braku wszystkiego, każdy ucieka, jak może, od produkcji i dba tylko o to, by nie przekroczyć jej pułapu, skazującego na fiskalne restrykcje. Gdyby przynajmniej dzięki takiej polityce inflacja i nierówności zniknęły, ale oba te zjawiska mają się znakomicie. To właśnie przykład skutków pasywnej, obronnej polityki. Jej alternatywą powinna być polityka aktywna, nawet decydująca się na świadome utrzymywanie inflacji, ta bowiem w tych warunkach jest i tak nieunikniona, zapewniająca wzrost produkcji i wykorzystanie aparatu wytwórczego. By jednak było to możliwe, trzeba się odważnie zdecydować na płacenie - ludziom i producentom - za wzrost produkcji, bez względu na to, gdzie i jak ona powstaje. A więc zmienić cały system podatkowy, znieść mechanizmy blokujące itd. pod warunkiem, że płaci się za produkcję sprzedaną. I dopiero po osiągnięciu względnego poziomu obfitości zdecydować się na działania antyinflacyjne, łącznie z reformą walutową.

Na tym tle jednak innego wymiaru nabierać musi kwestia rozwarstwienia dochodowego i nastrojów egalitarnych. Restrykcyjna po-

lityka gospodarcza wymaga wsparcia propagandowego, które skutecznie wzmaga te nastroje, głęboko zakorzenione w społeczeństwie. Egalitaryzm jest nawet wygodny, bowiem wzmacnia, wedle niektórych, "socjalistyczną" świadomość społeczeństwa. Nie zmienia to jednak faktu, iż program zaspokojenia potrzeb na niskim poziomie - a nawet utrzymywania potrzeb na takim poziomie - jest kolejnym czynnikiem hamującym rozwój. Nadto godzi on w aktywność i wzmaga nastrój beznadziejności, a także oczekiwania na pokonanie przez państwo wszystkich trudności. Póki więc pogląd, że aktywna polityka gospodarcza, stanowiąca jeden z kardynalnych warunków przezwyciężania kryzysu, choć powoduje rozwarstwienia społeczne, ale mimo to jest konieczna, nie zyska aprobaty społecznej, póty nic się nie zmieni. Znów w grę wchodzi hierarchia celów - jeśli celem głównym ma być pobudzenie wzrostu, to nie wolno jednocześnie uruchamiać mechanizmów aktywność stopujących, nawet jeśli da się je wywieźć z doktryny. Jak dotąd, propaganda skutecznie wspiera dość powszechną niechęć do aktywnych.

Obok aktywnej polityki płacowej, drugim czynnikiem sprawczym ożywienia gospodarczego musi być uzyskanie zasilenia zewnętrznego. Z wielu powodów, nie tylko na skutek błędów ekipy gierkowskiej, Polska nie może rozwijać się bez wielostronnych i ścisłych kontaktów gospodarczych ze światem - mówienie o "stanięciu na nogach o własnych siłach" lub dzięki reorientacji polskiego handlu zagranicznego powinno podlegać ocenie Trybunału Stanu.
Nie wiem, czy ktoś poważnie traktował te hasła, ale faktem jest, że dążenie do jako takiego zrównoważenia bilansu płatniczego kraju bez rozwiązania globalnych problemów z wierzycielami musiało spowodować drastyczne ograniczenie importu; rozkręciło to w sposób oczywisty spiralę spadku, powodując narastające niewykorzystanie potencjału wytwórczego, który bez importu nie może istnieć. Można oczywiście obwiniać za to Reagana, ale - poza wątpliwymi skutkami propagandowymi - niewiele to daje.

Lista podobnych przykładów jest ogromna - należałoby z całą pewnością umieścić na niej niekonsekwencje polityki rolnej, cenowej, cały mechanizm fiskalny skierowany przeciw rzemiosłu i usługom, kampanię przeciw firmom polonijnym itd. Wszystkie te dowody braku konsekwencji i zataczania się polityki gospodarczej od ściany do ściany świadczą w istocie o tym samym. Mianowicie o braku wyobraźni, o pasywności dyktowanej obawą przed nieznanym lub kurczowym trzymaniu się stereotypowych - żeby nie napisać: doktrynalnych - rozwiązań, które niczego przecież nie rozwiązują.

Zaprzepaszczone szanse

Czy mogą być inne? Powtarzam to pytanie, ma ono bowiem kluczowe znaczenie dla oceny polityki gospodarczej i stopnia "obiektywności uwarunkowań". Spróbuję na nie odpowiedzieć operując przykładami z jednej tylko, ale za to najtrudniejszej, płaszczyzny: zasilenia zewnętrznego, owego najsilniej działającego hamulca wzrostu. Odrzucam oczywiście rozwiązanie najprostsze, a więc utrzymanie sytuacji sprzed grudnia 1981 r., jako - być może - niemożliwe do przyjęcia. Oznacza to, że nie można było nawet marzyć o konwencjonalnym zasileniu zewnętrznym. A o niekonwencjonalnym? Przecież kraj dysponuje majątkiem, którego wartość - mimo dekapitalizacji - znacznie przekracza wysokość naszego długu. Mieliśmy i mamy nadal, ciążący niezwykle silnie balast inwestycji niezakończonych o sporym zaangażowaniu kapitałowym.
Czy wykorzystano więc szanse uruchomienia tego majątku na zasadzie współpracy kapitałowej? Przecież wcale nie trzeba było szukać chętnych, oni sami pukali do naszych drzwi, z reguły bez odzewu nawet.

Japończycy okazywali wysokie zainteresowanie Żeraniem, Polcolorem i paroma innymi kolosami przemysłowymi, zupełnie inaczej można było finalizować inwestycje w Ursusie, znów lista przykładów jest obszerna, przy czym mowa o inicjatywach z zewnątrz, a nie o poszukiwaniach z naszej strony.

Krótko mówiąc, możliwości napływu kapitałów, tworzenia różnych spółek z jego udziałem i to przy zachowaniu nawet przewagi strony polskiej, było bez liku. Wszystkie szacunki wskazują też, że teoretycznie w grę wchodzić mogły kwoty znacznie przewyższające raty spłat naszego zadłużenia i tworzące wystarczającą swobodę manewru. Oczywiście, wspomniani Japończycy nie działali z pobudek dobroczynnych czy miłości do nas - im od dawna zależy na stworzeniu w Europie bazy montażowej swych samochodów. Żerań nadawał się do tego idealnie, podobnie jak Polcolor był interesujący jako punkt wypadowy dla ekspansji ich sprzętu telewizyjnego.

Ktoś powie, że to byłaby droga oddania się w niewolę gospodarczą. Być może i to też należało brać pod uwagę w czasie ewentualnych pertraktacji. Ich brak sprawił jednak, że mamy na Żeraniu rozpadającą się fabrykę, z której już żaden samochód nie wychodzi w zgodzie z wymogami i rozważamy kupno nowej licencji. Jest to zbyt wysoka cena za cnotę.

Idźmy dalej tym śladem. Jeszcze nie tak dawno, wiosną 1985 r., przywiozłem ofertę jednego z największych francuskich konsorcjów budowlanych, proponującą /na niezwykle atrakcyjnych warunkach/ możliwość modernizacji większości naszych tzw. fabryk domów; dawało to szansę ilościowego i jakościowego skoku mieszkaniowego i dodatkowo spore korzyści materialne dla nas /oczywiście dla Francuzów też/ - nawet nie podjęto negocjacji. A skoro jesteśmy na budowlanej żączce, to inny jeszcze przykład: najnowocześniejsze i najekonomiczniejsze cementownie opalane mazutem przerabiamy na węgiel, którego zresztą cementownie nie otrzymują i część z nich w ogóle nie pracuje lub pracuje na pół obrotu, mimo że koszt przeróbki jest ogromny. Dziś cement znów limituje rozmiary budownictwa. Tymczasem sam przekazywałem odpowiednim naszym władzom zainteresowanie Szwedów cementem w zamian za dostawy mazutu. Też bez rezultatów.

Inny dowód dostarczają perypetie związane z Fundacją Rolną. Jeszcze przed dwoma laty wydawała się ona przedsięwzięciem ogromnym, dziś strona rządowa twierdzi, że zainteresowana jest nim słabiej, bo... nie ma szansę na miliardy. Skala jest rzeczywiście mniejsza, bo czas uciekł. Być może straciliśmy w ten sposób kolejną szansę zmodernizowania tego, tak ważnego przecież, sektora gospodarki. Oraz kolejną możliwość niekonwencjonalnego zasilenia zewnętrznego.

W grę wchodziły zresztą nie tylko takie możliwości. Z ogromnymi oporami otworzono, a raczej uchylono, furtkę dla kapitału umownie nazwanego polonijnym /tak jak by kapitał miał w ogóle narodowość/. Abstrahuję od faktu, że ze względów czysto propagandowych czy może wymogów wewnętrznej gry politycznej jego możliwości są stale ograniczone, choć przecież barwność wielu sklepowych półek tylko mu zawdzięczamy - mniej ważne, czy to to akurat towary najpotrzebniejsze lub jakościowo najdoskonalsze - to musi co najmniej dziwić, że podobnych do Polonusów szans nie posiada właściciel dowodu osobistego wydanego przez władze PRL. Albo posiadacz obcego paszportu, który nie może się wykazać posiadaniem babki czy ciotki ze śladem polskiej krwi. Przecież to oczywisty bezsens gospodarczy! Świadczy on o wyraźnej niechęci czy wyraźnych obawach zapewnienia zarówno dopływu kapitałów obcych do Polski, jak i prób aktywizacji wewnętrznych źródeł akumulacji. Jest przecież oczywiste, że w kraju są środki równe tym, jakie zainwestowali

Polomusi i tak samo dobre pomysły produkcyjne, które można by wykorzystać dla rozruchu machiny gospodarczej. Pod warunkiem, że władze zdecydowałyby się na reorientację własnej polityki i systemową gwarancję trwałości przyjętych rozwiązań. Niestety, niewiele wskazuje na to, by polityka gospodarcza ostatniego pięciolecia umiała czy chciała dostosować się do wymagań narzucanych przez sytuację gospodarczą kraju. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że istniała szansa zaproponowania innej, bardziej aktywnej polityki ekonomicznej. Gdyby jeszcze do tego reformy była wdrażana w sposób konsekwentny, to nie ulega wątpliwości, że większość uwarunkowań, jakie dziś określa się jako obiektywne, nie byłaby tak groźna, a część - być może - należałaby do historii.

Inna sprawa, że zmiana polityki i nadanie jej niekonwencjonalnych kształtów wymaga głębokich zmian w sposobie myślenia centrum. Zapewne to jest najtrudniejsze. Czy w ogóle możliwe? Nie wiem. Chciałem tylko wykazać, że fałszywe jest twierdzenie o braku alternatywy dla prowadzonej obecnie polityki gospodarczej lub o obiektywnym charakterze uwarunkowań trzymających nas w niewoli bezradności.

Co nam funduje Fundusz?

Przystąpienie PRL do Międzynarodowego Funduszu Walutowego należy do nielicznych decyzji rządu, które uzyskały przychylność opozycji. Polacy oczekują, jak się wydaje, że MFW wywrze nacisk na przeciwników zmian w PRL i wymusi na nas reformy, których nie bylibyśmy w stanie przeprowadzić sami. W tej sytuacji warto przypomnieć, że MFW jest instytucją kierowaną przez międzynarodową biurokrację finansową, która jak każda biurokracja jest zainteresowana raczej we wzroście własnego znaczenia niż w realizacji zadań, do których została powołana. Powiększanie rozmiarów pożyczek dla bankrutów państwowych to rzeczywisty cel, jaki MFW udaje się realizować skutecznie od lat. MFW jest jedną z tych instytucji, które od czasów Bretton Woods ponoszą główną odpowiedzialność za międzynarodowy kryzys finansowy. PRL jest wymarzonym partnerem dla tej polityki. Dlatego nie należy sądzić, aby /mimo sporego hałasu i drocznia się/ warunki ekonomiczne, jakie MFW narzuci PRL były nadmiernie surowe. Dlatego na pomoc ze strony MFW należy patrzeć trzeźwo. Pieniądze jakie możemy dzięki członkostwu w MFW uzyskać są nam istotnie bardzo potrzebne. Również nacisk, jakie MFW na PRL wywrze, zapewne przydadzą się /chociaż te nacisk MFW na PRL, PRL będzie zapewne musiała na MFW wywrzeć/. Jednak tak pieniądze, jak i nacisk nie przyniosą z pewnością istotnych zmian, stanowić mogą co najwyżej ponowne pierwsze pchnięcie dla reformy. Zmiany istotne, polegające na przejściu od systemu mającego na celu powiększanie produkcji do systemu opartego na maksymalizacji zysku, będziemy musieli przeprowadzić sami. MFW - instytucja najbardziej może w świecie przyczyniająca się do marnotrawstwa kapitału - z pewnością nam w tym nie pomoże.

Przedrukowujemy artykuł sprzed roku - z krakowskiej "TJ"-ki. Solidaryzowaliśmy się z tym stanowiskiem od początku. Widać wyraźnie, że Autor miał rację. MFW potrafi wymóc na rządzie PRL podwyżki cen - dobre i to. Nie potrafi jednak wymusić zniesienia dotacji, ani racjonalności gospodarowania. Tylko MY możemy - i musimy to zrobić sami. Bez oglądania się na opinie na Wschodu lub Zachodu. Redakcja

Odpowiedź 2, "Chytry manewr rządu mający na celu istotne zwiększenie dolegliwości karania, poprzez dyspozycyjną kolegia. Jedwabna rękawiczka nałożona na stalową pięść."

Nagrodę otrzymują niemal wszystkie lewicowe pisma podziemne.

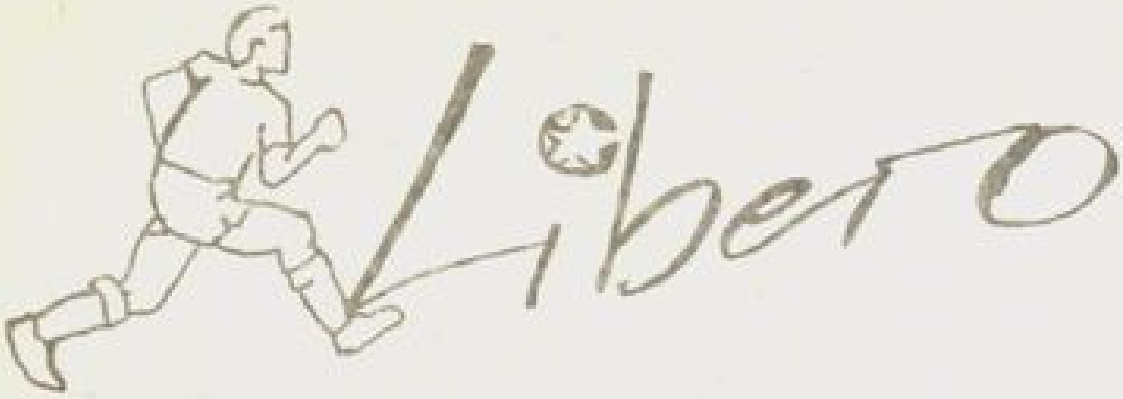

PISMO LIBERAŁÓW - WARSZAWA

SOCYJALIZM KAŻDEMU RÓWNO NOSA UTRZE:
BOGATYCH ZDUSI JUTRO - A BIEDNYCH POJUTRZE... ☆
Aleksander hr. FREDRO

Komentarz:

Coś niesłychanie intrygującego dzieje się wokół granic Polski. Pozwolę sobie przytoczyć kilka faktów:

1. Coraz bardziej prawdopodobnie wygląda wizyta Jego Świątobliwości, Jana Pawła II, w zachodnich rejonach Imperium.
2. P.gen.Wojciech Jaruzelski odbył demonstracyjną wizytę w Wilnie - po której nastąpiło dalsze zacieśnianie kontaktów i kampania prasowa taka, jak gdyby nie istniała granica Litwy i Polski.
3. We Lwowie ma zostać otwarty polski konsulat.
4. Rząd Niemiec Wschodnich zamknął nam tor wodny do Świnoujścia /Schweinemünde/. Pertraktacje w tej sprawie są, jak powiedział p.min.Jerzy Urban, "w toku". Od dłuższego czasu, niestety.
5. Rząd Niemiec Wschodnich /i Berlina Wschodniego/ wyraźnie dogrywa ostatnie partie rozgrywki z RFN. To już ostatnie chyba dąsy dyplomatyczne. Wkrótce nastąpią dalekosiężne porozumienia
6. P.Michał Gorbaczov próbuje sobie zjednać przychylność Zachodu, rozbić jedność Europy, i rozwiązać ręce do jedynej ważnej polityki: Azjatyckiej i kwestii podstawowej: gospodarki. Chruszczov w tym celu oddał całą Austrię Wschodnią i Wiedeń...
7. Od II wojny światowej Polskę nazywają "państwem na kółkach"

Wnioski Szanowni Czytelnicy zechcą wyciągnąć sami. By się przed wcześnie nie martwić/cieszyć?/ przypominam, że Kreml przygotowuje się nieraz do wielu zagrań - ale realizuje tylko jedno. Ja co prawda od wielu lat prorokuję, że Imperium będzie się pomału cofać - ale z tego nic pewnego nie wynika.

W każdym razie, Panie Prokuratorze, ja tu nic właściwie nie napisałem - o czym proszę pamiętać!

J.K.M.

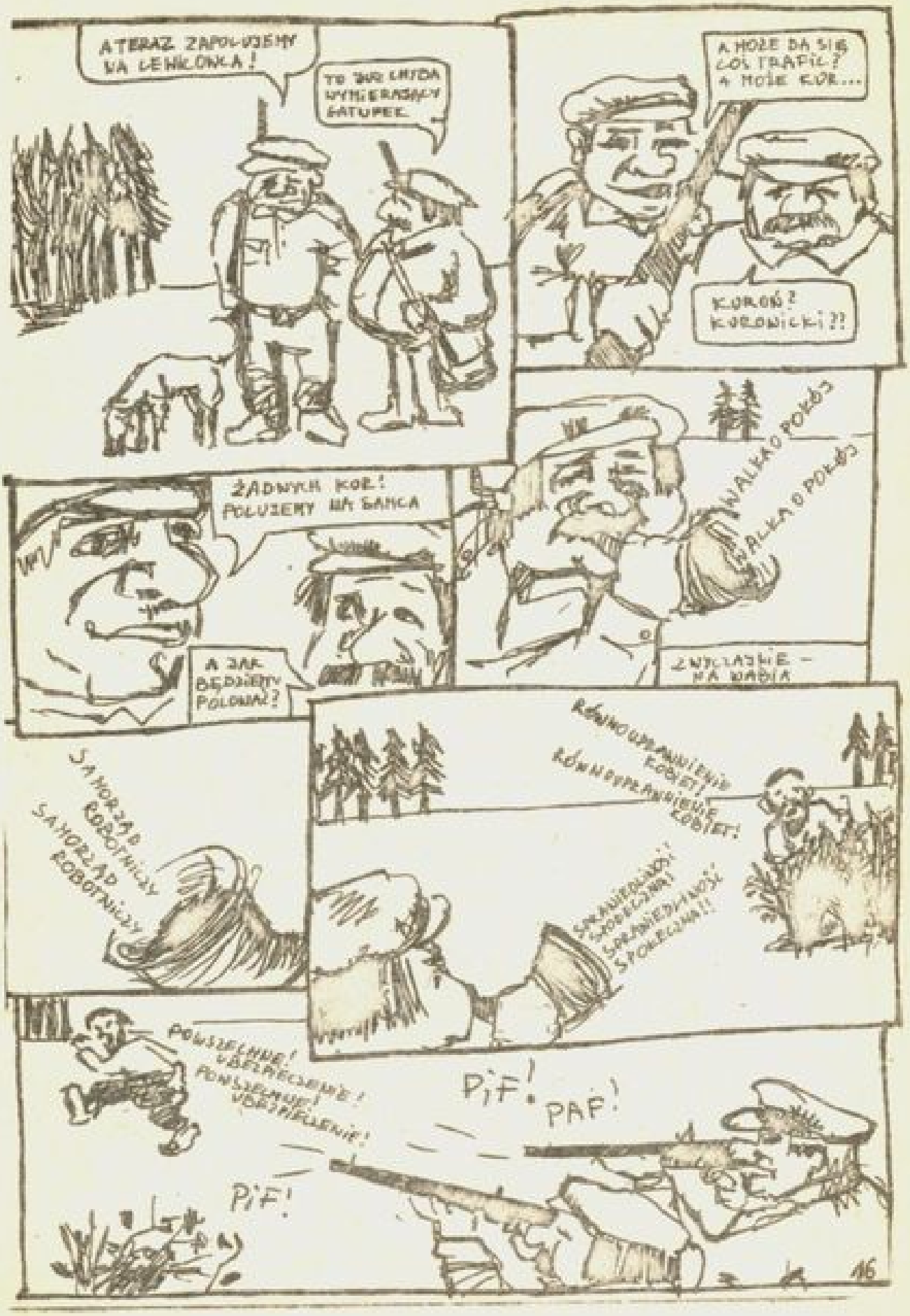
A TERAZ ZAPOLUJEMY NA LEHKOWKA!
TO JUŻ LEPIEJ WYMIERASZAŁY BATUREK.
A MOŻE DA SIĘ COŚ TRAFIĆ? A MOŻE KUR...
KUROŃ? KUROWICKI??
ŻADNYCH KUR! POLUJEMY NA SANCA
A JAK BĘDZIEMY POLOWAĆ?
WALKA O POLÓJ
WALKA O POLÓJ
ZWŁASZCZA - NA WAŚIA
SAMORZĄD KOBIETNICZY
SAMORZĄD ROBOTNICZY
RÓWNOUPRAWNIENIE KOBIET!
RÓWNOUPRAWNIENIE KOBIET!
SPRAWIEDLIWOŚĆ SPOŁECZNA!
SPRAWIEDLIWOŚĆ SPOŁECZNA!
POWSZECHNE! UBEZPIECZENIE!
POWSZECHNE! UBEZPIECZENIE!
PIF!
PAF!
PIF!

Janusz Korwin-Mikke
Gangsterzy i Filantropi

Co robi prawica, gdy chce zmienić rządy kraju?

Prawica zbiera ludzi najmądrzejszych, najodważniejszych, najsilniejszych i najbogatszych - po czym działa namową, siłą pieniądza, perswazją, brawurą, a w ostateczności siłą.

Co robi lewica, gdy chce obalić rząd?
Zbiera wszystkich nieudaczników, pokrzywdzonych, leniwych, słabych i głupich - po czym działa natręctwem, naprzykrzaniem się, nudzeniem - a w ostateczności siłą ślepej masy.

Lewica próbuje znaleźć klientów wszędzie. Murzyni? - dobrzy Murzyni! Robotnicy? - znakomicie! Studenci - od biedy też można wykorzystać... Kłopot w tym, że wszelkie te grupy, gdy tylko nieco ich członkowie okrzepną, przechodzą do obozu prawicy...

Lewica z rozpaczy postanowiła zastosować broń ostateczną:

K O B I E T Y !

Murzynów w jakimś kraju może przypadkiem nie być - ale kobiety są wszędzie. Kobiety są zdominowane przez mężczyzn - jakże prosto rozpocząć agitację, że jest im z tym źle! Kobiety nie mają równych praw? - nuże perswadować, że powinny je mieć! To, że przodownikami w tej walce o równouprawnienie są mężczyźni, nie budzi podejrzeń kobiet, bo przecież jest to tak naturalne...

Niektóre tylko kobiety - i to tylko w niektórych krajach - zauważyły trzeźwo, że są przecież w uprzywilejowanej pozycji, przeto walka o równe prawa jest samobójstwem. Ich głos ginie jednak zazwyczaj w powodzi demagogii. Ten zalew agitacji jest w krajach Zachodu bogato wspierany przez tych samych, co popierają tam pacyfizm, socjalizm i inne zgubne dla państwa idee; wojna w Viet-namie pokazała, że za pieniądze wydane na wspomożenie agitacji pacyfistycznej nie dałoby się kupić nawet pięciu nowoczesnych czołgów. Czołgi zostałyby rozbite - a agitacja rzuciła na kolana największe mocarstwo świata.

To, że wrogowie cywilizacji popierają ruch kobiet - jako środek jest w pełni zrozumiałe. Mniej jasne jest, dlaczego popierają r ó w n o u p r a w n i e n i e kobiet? Czemu nie popierać ruchu domagającego się zwiększenia dziedziczenia przez kobiety, zapewnienia trwałości małżeństwa itd. - co znalazłoby większy oddźwięk u kobiet

Ci, co chcą zniszczyć nasz świat, nie robią tego z czystej złośliwości, lecz z idealizmu. Ich ideałem jest jednolitość. Nie spoczną, dopóki jeden obywatel będzie bogatszy, zdolniejszy, lub choćby wyższy od drugiego. Nie darmo u Orwella członkowie i członkinie Partii nosili identyczne odzienie - i nie darmo forsowano w modzie odzież "unisex"... Poza tym: zagraniczni sponsorzy nie dality pieniędzy na akcje zwiększające np.trwałość rodziny. W ten oto sposób naiwny idealizm jednych zbiega się interesem ich pozornych przyjaciół, a w istocie wrogów.

Nie ma przy tym najmniejszej wątpliwości, że kobiety są w tym wszystkim jedynie środkiem. Gdy tylko ludzie ci dochodzą do władzy, natychmiast odsuwają kobiety na swoje miejsce - czemu zresztą trudno się dziwić. W Nikaragui jeszcze trwa walka - i dwie egerie rewolucji nadal tkwią w rządzie. Ale czy widział kto kobietę w rządzie p.Fidela Castro?? /Nie widziano tam również robotnika, Murzyna, ani Mulata - choć na Kubie ciemnoskórzy stanowią większość.../

Nie znaczy to, że po zdobyciu władzy reżimy socjalistyczne zaniedbują kobiety - o, nie! Kobiety są istotną podporą tych rządów!

Po pierwsze kobiety są istotami praktycznymi i krótkowzrocznymi. Gdy mąż gotów jest walczyć o cel odległy, żona wskazuje, że jest to ryzyko dla domu - a przecież i w tym reżimie da się jakoś przeżyć. Kobieta nastawiona jest na przetrwanie za wszelką cenę - i jest to cenny sprzymierzeniec każdego rządu, który chce trwać. Kobiety nie lubią zasadniczych zmian - przynajmniej te nie pierwszej młodości.

Po drugie kobiety przywykły do pewnej opiekuńczości. Stąd paternalizm rządów socjalistycznych traktują jako naturalny - może nawet zbyt mały - i dziwią się, gdy mężczyznom wydaje się on nieznośny. "Cóż w tym złego, że rząd każe ci zapinać pasy w Twoim własnym samochodzie? - pyta męża - Przecież to dla Twojego dobra!" Piekielna pułapka polega tu na tym, że uprzednio pozbawia się kobietę kurateli ze strony mężczyzny - przez co tym łatwiej akceptuje ona kurtelę państwa.

Po trzecie: socjalizm niszczy prawdziwe elity narodu. Tylko tam jednak mężczyźni przodują! Wśród stu arcymistrzów szachowych kobiety nie uświadczysz -ale jeśli wziąć pod uwagę średnią kobietę i średniego mężczyznę, to różnica może być znikoma, a wśród wyrzutków społeczeństwa kobiety wręcz górują! Dzieje się tak, gdyż mężczyźni są płcią o większym rozrzucie zdolności: więcej geniuszów i więcej idiotów; średnia być może jest nawet taka sama! Jeśli więc ideałem jest społeczeństwo jednolite, to modelem jest raczej kobieta.

Tak więc socjaliści zupełnie szczerze nastawiają się na kobiety - a ponieważ lewica to z reguły mężczyźni słabi, przeto bez większego skrępowania wymieniają czasami matriarchat, jako pożądany ideał. To, że obecnie nie biorą do rządów kobiet, jest typową dla "nowo-mowy" fazą przejściową: w świetlanej przyszłości wezmą, o, napewno wezmą!/Podobnie komuniści zapewniali, że "państwo obumrze", ale chwilowo trzeba je wzmacniać.../ Czasami zresztą, bardzo rzadko, pojawia się w rządach socjalistycznych dla dekoracji jakaś kobieta - niekiedy nawet jako pierwsza minister; częstość ta jest jednak daleka od teoretycznych 50% głoszonych przez socjałów - odpowiada raczej tej, o jakiej mówili liberałowie...

Moim zdaniem dopóki kobiety mają teoretyczne prawo głosu na równi z mężczyznami - socjalizmu obalić się nie da. Kobieta w ciąży nie dostrzega, że jest wysyłana do kolejki d l a t e g o , że istnieje przepis dający jej pierwszeństwo kupna: nie, czuje wdzięczność dla państwa, które ten przepis wydało - i niechęć do męża /podświadomą - bo przecież w tej sytuacji ona sama napiera się by pójść do sklepu.../ Kobieta nie dostrzega, że idzie na bolesną skrobankę d l a t e g o , że istnieje ustawa o przerywaniu ciąży: gdyby jej nie było, z pewnością stosowałaby jakieś środki i nie byłoby "niepożądanej ciąży". Kobieta /i większość mężczyzn/ nie zauważa, że musi iść do pracy i harować na dwóch etatach d l a t e g o , że jest równouprawnienie i spłaszczenie dochodów: jeśli rodzinie z dwojgiem zarabiających ma się powodzić tylko średnio, a jej mąż ma zarabiać mniej-więcej tyle, co mąż tamtej, to jego pensja m u s i być niewystarczająca /innymi słowy: gdyby zwolnić z pracy inne kobiety, to pensja jej męża - i innych mężów - okazałyby się wystarczające!/ Kobieta poza tym będzie popierała socjalizm, gdyż jest to system zastoju i bezpieczeństwa - a ona przywykła siedzieć w pieczarze z wlotem zawalonym głazem - podczas gdy mąż ugania się za mamutem.

Zauważmy tu, że cała ta demagogia możliwa jest tylko przy braku nacisku selekcyjnego. Gdyby naprawdę pojawiły się mamuty, kobiety przestałyby mówić o równouprawnieniu, zamknęłyby się w domach i wołały do mężów: "No, zróbcie coś z tym!" Tylko bogactwo i bezpieczeństwo umożliwiają kobiecie udawanie, że jest równouprawniona...

W rzeczywistości to kobiety najciężej płacą za swe złudzenia. To one pracują na dwóch etatach - w dodatku bez sensu, gdyż dodatkowe praczki, kelnerki, konduktorki, przedszkolanki, nauczycielki, krawcowe itp. potrzebne są zazwyczaj dlatego, że... istnieją kelnerki które trzeba wozić do pracy, konduktorki, które trzeba opierać itd. Specjalizacja pracy to wspaniała rzecz - jednak raczej nie w rodzinie. Dzieci nie lubią, gdy na nocnik wysadza je specjalistka od kupek, a karmi specjalistka od maczków: dzieci chcą MAMĘ. W pewnym sensie socjalistyczne rozluźnienie obyczajów jest bardzo naturalne liberalne: cóż naturalniejszego w tej sytuacji niż znaleźć sobie na boku kochankę - specjalistkę od sexu?

Trzeba-ż pecha, że Polska zawsze była krajem rządzonym przez kobiety - jak większość krajów słowiańskich. Słowo "agresywny" ma np. w Polszczyźnie wartość u j e m n ą : to najwyraźniej dowodzi, iż nie jest to kraj męski, gdyż właśnie agresja jest cechą najtypowszą dla mężczyzny. Tak więc w Polskę najsilniej uderzyła fala socjalizmu - i stąd takie opłakane rezultaty.

Zabawne, ale przy tym wszystkim wartości kobiece są u nas w pogardzie. Również u kobiet: ta,co jeździ na traktorze jest w oczach koleżanek bardziej godna podziwu, niż ta, co jest mistrzynią szydełkowania! Facet, który programuje komputer wzbudza ochy i achy - a przecież mózg małego dziecka jest wielokroć bardziej skomplikowany od komputera, a błędu w nim zapisanego nie można wyzerować; mimo to operowanie komputerem jest w cenie, a wychowywanie dzieci nie - co z logicznego punktu widzenia jest absurdem!

Z tym absurdem musimy skończyć - a jedynym środkiem jest powrót do dya-edukacji. Kobiety muszą mieć s w o j e wartości - a mężczyźni s w o j e - i równość nie polega na tym, by wszyscy robili wszystko, ale by jedne nie były mniej cenione niż inne. Powinno się liczyć nie tylko upolowanie mamuta - ale i smaczne przyrządzenie mięsiwa i ładne przyozdobienie stołu. Oczywiście, kobiety będą mówić o mężczyznach "co oni tam się znają na..." - a mężczyźni to samo o kobietach /nor w innych dziedzinach/; i właśnie o to chodzi! Rodzina jest znacznie trwalej związana, gdy mężczyzna n i e umie sam sobie przyszyć guzika, a kobieta przybić gwoździa - to chyba jasne? A w tym celu obie płcie powinny być inaczej wychowywane. Socjaliści zdają sobie z tego sprawę - i dlatego natychmiast po zdobyciu władzy przystępują do rozbijania przyszłych rodzin wprowadzając m.in. ko-edukację. /Nb. w tej dziedzinie "nowo-mowa" jest na najwyższym etapie, gdyż całkiem zgodnie z recepturą Orwella zbrodnicze pojęcie przeciwstawne do ko-edukacji nie figuruje po prostu w słownikach!!!/

W ostatnich latach sytuacja zaczyna się zmieniać - i to jest ta dobra nowina, jaką mam dla Pań na Dzień Kobiet /którego istnienie ma być zapewne dowodem równouprawnienia.../. Otóż pół wieku temu elita głosiła "równouprawnienie" - a ogół kobiet stukał się w głowę. Wszelkie ruchy zaczynają się od wąskich elit - przeto nic dziwnego, że ta zaraza poszła w lud. Teraz jest odwrotnie: przekonanie o równych prawach /a raczej ich potrzebie/ jest powszechne - a elity kobiet zaczynają je odrzucać i sławić cnoty domowe. Jeszcze parę-naście lat, i ta moda retro zwycięży. Jeśli nie - gotów jestem własnoręcznie zjeść ten artykuł i odeszczekać go pod spódnicą!

●

PS. Socjal-demagodzy używają zazwyczaj argumentów fałszywych. Obecnie na Zachodzie twierdzą, że kobiety zarabiają "niesprawiedliwie" mniej niż mężczyźni. Cóż... na stanowiskach fizycznych trzeba je porównywać nie do średniej, lecz do średniej mężczyzn o równej sile... Na umysłowych zaś - do mężczyzn o równym stażu pracy. Sam fakt, że najwięcej pieniędzy zarabia się pod koniec kariery - a kobiety idą na emeryturę wcześniej - powoduje znaczną różnicę, nieprawdaż? A przerwy w pracy?

○

Henryk Borucinski

RENTA DECYZYJNA

Ten, kto znajdzie wyjście z kryzysu wart będzie 35 mld dolarow, stwierdził na spotkaniu w Klubie Inteligencji katolickiej profesor Trzeciakowski. Na tymże spotkaniu dr Tomorowicz przedstawił kilka wariantów, czy raczej scenariuszy spłaty naszego zadłużenia. Podstawowym elementem scenariusza najbardziej optymistycznego jest przekonanie autora, że handel zagraniczny jest w stanie znacznie zwiększyć eksport do krajów płacących prawdziwymi pieniędzmi. Jest to zgodne z opiniami demonstrowanymi w naszs mediach a jednocześnie zupełnie niezgodne z otaczającą nas ekonomiczną rzeczywistością.

Moim zdaniem optymizm Tomorowicza i wszystkich /prawie/ "oficjalnych" ekonomistów i menedżerów jest wynikiem zabawy klockami statystycznymi. GUS informuje, że eksport z PRL do tych krajów w liczbach bezwzględnych jest wręcz mikroskopijny i stanowi marginalną część ich importu. Ergo: bez wielkiego trudu powinniśmy go podwoić, potroić, czy jeszcze bardziej zwielokrotnić. Tak, o ile dobrze zrozumiałem, wyraził się dr Tomorowicz. Zapomniał jedynie dodać, że wymagałoby to ogromnych inwestycji modernizacyjnych i znacznych przeobrażeń w całej gospodarce.

Niestety, gospodarka PRL, taka jaka jest, traci z każdym dniem możliwości nawet do odtwarzania swego stanu z dnia wczorajszego, czyli jak mówią ekonomiści, do reprodukcji prostej. Trzeba być bardzo nieodpowiedzialnym, żeby w tej sytuacji mówić o możliwości znacznego wzrostu eksportu.Wyjaśniam, że chodzi wyłącznie o wzrost eksportu przemysłu przetwórczego. Osiągnęliśmy bowiem kres możliwości wywozu surowców: węgla, siarki i miedzi oraz względny kres, bo wynikający z 40-letniego, świadomego zaniedbywania rolnictwa i przemysłu spożywczego, w wywozie produktów rolno-spożywczych.

Moje twierdzenie o "obumieraniu przemysłu przetwórczego, a zwłaszcza jego najistotniejszej części czyli przemysłu elektromaszynowego nie jest niestety gołosłowne.Nie był to u nas nigdy przemysł rozwinięty a na domiar złego od mniej więcej 1975 roku jest on pozbawiony możliwości rozbudowy i modernizacji, a od roku 1981 także wszelkich kontaktów z partnerami, posiadającymi nowoczesne technologie. Od tegoż roku bezustannie pogłębia się luka inwestycyjna. Wynik? Dzisiejszy polski przemysł elektromaszynowy ilościowo nie jest w stanie nawet w połowie zaspokoić potrzeb rynku wewnętrznego. Jego wytwory reprezentują niski poziom techniczny, co już ogranicza możliwość plasowania ich na rynkach zagranicznych, a co gorsza, są podle wykonywane, co te rynki przed nimi faktycznie zamyka. Można, oczywiście, wyrażać opinię, że jedynie p przemysł przetwórczy może zapracować na spłatę zadłużenia i lepszy rynek wewnętrzny - i to jest prawda - ale zaraz trzeba dodać, że w naszych warunkach jest to możliwość czysto teoretyczna. Tym bardziej, że z powodu prymatu polityki nad ekonomią zmarnowaliśmy kilka kolejnych lat i nadal cenny czas marnujemy.

Spotykam się z twierdzeniami, że po uzyskaniu dostępu do kredytów dolarowych i nowoczesnych, czyli zachodnich technologii przemysł ten mógłby sprostać te nadzieje. Zgadzam się, że bez pomocy kapitałowej i technologicznej przemysł ten nie ruszy z miejsca a współpraca w ramach "obozu" niewiele nam pomoże.I co z tego? To rozumowanie czysto teoretyczne.Kto bowiem da większe kredyty ekipie /sama zmiana kilku nazwisk nie ma wielkiego znaczenia/, która wydała 25 miliardów dolarów po to by pogrążyć kraj w ruinie i okazać się niewypłacalną? A przecież nie można tu pominąć aspektu politycznego.Jak długo świat kapitalistyczny może znosić ciągłą agresję ideologiczną ze strony krajów socjalistycznych i jednocześnie finansować absurdalne pomysły gospodarcze tychże

krajów? Niesodparcie przypominają się słowa Lenina, że kapitaliści sami wyprodukują broń, od której zginą. Piszę o tym by wykazać, że uczciwa i szeroka współpraca między dwoma blokami nie będzie możliwa bez wcześniejszego "ucywilizowania" się obozu socjalistycznego. Liczyć bez tego na większe kredyty z Zachodu oznaczałoby, że rządzą tam wyłącznie durnie.

Mamy więc pierwszą przesłankę dla wyjścia z kryzysu: dokonanie takich zmian w mechanizmach politycznych, by możliwa stała się szeroka współpraca z krajami najwcześniej rozwiniętymi. Realizując taki program przed innymi krajami socjalistycznymi zarobilibyśmy rentę decyzyjną.

Renta ta, to po prostu zysk wynikający z faktu, że jako pierwszy kraj socjalistyczny sięgnęmy po rozwiązania, dające nam "fory". Możemy ją również zarobić szybko i konsekwentnie wprowadzając reformę gospodarczą. Niestety, w sprawach najistotniejszych, za które uważam:
- powiązanie płac z efektywnością,
- likwidację monopolów w produkcji i dystrybucji,
- wprowadzenie pro-produkcyjnej polityki podatkowej,
- zlikwidowanie resortów branżowych na rzecz jednego, sztabowego resortu przemysłu i handlu,
- zredukowanie Komisji Planowania do stosunkowo niewielkiego zespołu osób znających się na marketingu i prognozowaniu,
- autentyczne, niezakłamane zrównanie w prawach sektora prywatnego z państwowym, nie zrobiliśmy prawie żadnego postępu. Panuje tu nadal polityka ruchów pozorowanych, dla zrobienia wrażenia na ewentualnych kredytodawcach. Taki współczesny NEP : kosztem innych przeżyć najcięższe chwile aby później tym szybciej maszerować do komunizmu. Głupota czy zatrata instynktu samozachowawczego? Po 60 latach prób ciągle nieudanych wierzyć, że socjalizm wygra z kapitalizmem na gruncie wydajności pracy to już zabawa niebezpieczna. Może ona kosztować byt narodu.

Mówiąc o hamulcach czy raczej opóźnieniach reformy nie wymieniam spraw szczegółowych, takich jak np. ograbianie przedsiębiorstw z odpisów amortyzacyjnych i wpływów dewizowych, stosowanie nomenklatury nie tylko wobec firm państwowych ale i prywatnych, tworzenie przez masa media wrogiej atmosfery wokół sektora prywatnego /stołują się ci cholerni kapitaliści w Forum!/itp. Takimi drobnymi sprawami można zapełnić książkę. Wiedzą o tym np. właściciele i pełnomocnicy firm polonijnych. Niektórzy z nich uważają, zgoda na utworzenie takich firm była dalekowzrocznym sabotażem ze strony twardogłowych, którzy chcą dać odstraszający przykład dla tych z zachodnich kapitalistów, którym przyszłoby do głowy przyjść do PRL z większym kapitałem. A teraz już wiedzą, że inwestowanie w naszym kraju wiąże się z dużym ryzykiem.

Na wspomnianym spotkaniu jeden z uczestników sformułował tezę, że jedną z przyczyn naszych kłopotów we wszystkich dziedzinach jest bariera kompetencji. Innymi słowy - to już mój komentarz - kadra przywódcza PRL reprezentowała w latach powojennych najniższy poziom intelektualny wśród krajów skazanych przez los na socjalizm. A dalej już poszło: szefowie na współpracowników i następców nie lubią brać mądrzejszych od siebie i mamy to co mamy.

Czy reformę mogą zaprogramować i przeprowadzić ekonomiści marksistowscy? Wątpię. To tak jakby XIX-wiecznemu woźnicy kazać bez przeszkolenia prowadzić nowoczesny samochód ciężarowy z przyczepą. Dlatego też między innymi trudno uwierzyć w powodzenie reformy. Gdyby kierownikami Wydziału Ekonomicznego KC, Komisji Planowania i resortów byli ludzie na miarę Kaleckiego, Kwiatkowskiego...

Wsiadłem na swojego ulubionego konia, bo od lat piszę by w otaczającej nas pesymistycznej szarości postawić wreszcie na jedyny numer który ma szansę wygrać: na przedsiębiorczego człowieka. Inteligentne i pracowite społeczeństwo, ogarnięte posją dorabiania się to bogactwo znacznie większe od węgla i siarki i co najważniejsze: niewyczerpane.

Największy potencjał gospodarczy naszego kraju reprezentują niestety firmy państwowe, które programowo tkwią w bezruchu. Tyle w nich chęci do innowacji i ekspansji co krwi w suszonej rybie. Podobnie jest w pozostałych krajach "obozu" i tu jest więc do wygrania renta decyzyjna. Kto ruszy pierwszy? Stawką jest np. uzyskanie stosunkowo dużych kredytów, związanie się z ciekawymi partnerami, wejście na tereny opuszczane przez najlepszych itp. Kto pierwszy ten lepszy. Jeśli np. NRD zacznie na dużą skalę współpracować z Volkswagenem a ZSRR z japońskim przemysłem motoryzacyjnym to możemy spokojnie zamknąć FSO-FSM.

Pojawiły się szanse na odważniejsze ruchy reformatorskie, bo pojawiło nowinkami ze Wschodu. Są one być może pierwszą oznaką, że Doktryna w kraju swego pochodzenia znajduje się w odwrocie. Ponieważ wiemy skądinąd, że źle jest się spóźnić, uważajmy, żeby renty decyzyjnej nie połknął w całości nasz wielki partner. Ma on nad PRL tę wielką przewagę, że nie musi się na nikogo oglądać a i dla Zachodu jest atrakcyjniejszym partnerem niż PRL. Ciarki mnie jednak przechodzą na myśl, że w jednej dziedzinie jesteśmy absolutnie suwerenni: w głupocie zarządzania i nikt nam nie będzie przeszkadzał w dalszym cofaniu się w XIX wiek. Niewżne jest bowiem jak żyje społeczeństwo. Ważne, kto sprawuje WŁADZĘ.

Lepsze zaopatrzenie rynku, zwłaszcza w środki spożywcze /poza mięsem/, stosunkowo niemajgorsze zaopatrzenie sklepów w wyroby rzemieślnicze i porównanie stanu usług państwowych z prywatnymi wskazuje czym mógłby być dla gospodarki sektor prywatny, gdyby zliberalizowano gospodarkę. Dla uzyskania renty decyzyjnej i w tym zakresie należałoby ograniczyć do minimum formalności związane z otwieraniem firm i prywatnych zakładów rzemieślniczych oraz wyeliminować wszelkie ograniczenia wielkości zatrudnienia i produkcji w sektorze prywatnym. Na początek można by wrócić do brzmienia ustawy o nacjonalizacji... Warto by się zastanowić, czy nie zacząć tworzyć spółki akcyjne w oparciu o "prawdziwe pieniądze", będące w posiadaniu obywateli PRL.

Ze względu na szczupłość miejsca nie zakładam wyjaśniania moich poglądów na całość tego zagadnienia i poruszenia wszystkich kwestii z tym związanych. W telegraficznym skrócie sygnalizuję jedynie, że chcąc w rozsądnej przyszłości wejść do grona krajów wysokorozwiniętych musimy dzisiaj, nie tracąc ani jednego miesiąca więcej, rozpocząć restrukturyzację gospodarki. Potrzebne są decyzje ważkie, odważne. Niezbędna jest rezygnacja z niby rozwiązań i odkładania trudnych decyzji na jutro. Chodzi o restrukturyzację k o m p l e k s o w ą: w przemyśle przetwórczym i wydobywczym, w zarządzaniu i w stosunkach własnościowych. Im silniejsza będzie presja sektora prywatnego na rynek i eksport, tym szybciej będzie się uzdrawiał chronicznie chory sektor państwowy. Potrzebna mu jest zwłaszcza szybka kuracja odchudzająca. Tym wszystkim we władzach, którzy twierdzą, że sektor prywatny jest zbyt mały by odgrywać jakąkolwiek rolę w wychodzeniu z kryzysu, odpowiadam: mamy co jeść dzięki indywidualnemu rolnictwu, a byłoby jeszcze lepiej, gdyby nie państwowe zarządzanie prywatnym rolnictwem. Dziś sektor prywatny poza rolnictwem nie znaczy wiele, chociaż już dość wyraźnie pokazał swoje możliwości. Proponuję: spróbujcie! Ale grajcie fair i stwórzcie warunki prawne, które pozwolą ujawnić rzeczywiste możliwości tkwiące w społeczeństwie. Leży to w interesie władzy. Czas pokazał ,że nie ma alternatywy. Albo upadłość albo liberalizacja gospodarki.

Nie poruszyłem tu spraw tak znanych, jak konieczność likwidacji całych nierentownych gałęzi przemysłu przetwórczego i wydobywczego /pisałem kiedyś by nauczyć górniczych synów produkcji obwodów scalonych i mikroprocesorów, a węgiel kupować...w USA/. Nie wspomniałem też o konieczności zamykania nierentownych zakładów, nawet jeżeli utrwaliły się w świadomości społecznej jako "wielkie budowle socjalizmu". Wszystko to mieści się w pojęciu restrukturyzacji, która musi być z konieczności zabiegiem bardzo bolesnym. cd na str 25

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

Chcesz nie bać się władzy?

"Każdy niech będzie poddany władzom, sprawującym rządy nad innymi. Nie ma bowiem władzy, która by nie pochodziła od Boga, a te, które są, zostały ustanowione przez Boga. Kto więc przeciwstawia się władzy - przeciwstawia się porządkowi Bożemu. Ci zaś, którzy się przeciwstawili, ściągną na siebie wyrok potępienia. Albowiem rządzący nie są postrachem dla uczynku dobrego, ale dla złego. A chcesz nie bać się władzy? Czyń dobrze, a otrzymasz od niej pochwałę".

Powyższy cytat jest, na się rozumieć, wyrwany z kontekstu, a pochodzi z listu św. Pawła do Rzymian, rozdział 13, ustępy 1-3, w tłumaczeniu Ks. Felicjana Kłonieckiego /Biblia tysiąclecia, wydanie trzecie poprawione, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań - Warszawa 1980, str. 1287/ i jest fragmentem omówienia obowiązków wypływających z posłuszeństwa wobec władzy świeckiej. Tych kilka zdań dosyć sobie upodobali komuniści, odnoszą się do nich z szacunkiem i tylko patrzeć, jak św. Paweł zajmie poczesne miejsce wśród klasyków marksizmu-leninizmu. Komuniści przywołują te słowa po to, by pouczyć, postrofować społeczeństwo PRL, które, choć katolickie jak głosi fama, swojej władzy nie szanuje i tym samym, nolens volens, stawia się poza nawiasem społeczności dobrych chrześcijan. Tym cytatem komuniści chcą przekonać zbłąkane owieczki do powrotu pod opiekę pasterza, do zagrody i do stada. Jerzy Jarzeniec w artykule "Komu nadzieja, komu współpraca" z "Polityki" nr 13 z 30 III 1985 na str. 12 powyższe słowa św. Pawła nazywa "obecnie jak gdyby nieco zapomnianymi /przemilczanymi?/ wersetami". Zapomnianymi przez społeczeństwo, przemilczanymi przez duchowieństwo, jak należy się domyślać. Określenie "jak gdyby nieco" można rozumieć dwojako: jako ironiczne względem zapominalskich milczków bądź jako synoniczne do "nie całkowicie". Nie całkowicie, bo komuniści są pamiętliwi i nie przemilczają. Choć od artykułu Jarzeńca ponad rok już mija, zajmijmy się wraz z komunistami odkurzaniem tych wersetów. Warto.

1. "Każdy niech będzie poddany władzom sprawującym rządy nad innymi".

Ze zdania tego - i z następnych - wynika, że wszystkie władze są na swój sposób sobie równe. Z całkowitą pewnością można więc sądzić, że komunistyczne artykuły prasowe będące brutalną ingerencją w wewnętrzne sprawy USA czy RFN nie spotkałyby się z przychylną oceną św. Pawła. Zdanie to można też rozumieć jako dezaprobatę dla człowieka umieszczonego poza prawem - /powtarzam: prawem, nie bezprawiem; nie ma u św. Pawła apologii bezprawia/ - pozostającego w stanie wolności nieograniczonej, tzn. takiej, która nie jest zmuszona do respektowania swoich naturalnych granic wyznaczonych wolnością bliźniego. Chodzi o to, że jakaś władza świecka musi istnieć. Cytowane zdanie pozwala również, a w każdym bądź razie nie zabrania, być poddanym władzy, jaką każdy sam sobie może wybrać /w sensie wyboru pomiędzy władzami istniejącymi/, niezależnie od miejsca zamieszkania, koloru skóry i ilości kochanek - władzy, która mu najbardziej odpowiada. Innymi słowy: to nie władza decyduje kto jest jej poddanym, ale człowiek, który jak pamiętamy jest stworzony na obraz i podobieństwo Boże, decyduje, której władzy chce być poddanym. Św. Paweł pozwala obywatelowi PRL być poddanym Zjednoczonego Królestwa lub Republiki Francuskiej. Czemu by nie? Tam też sprawuje się "rządy nad innymi". Zwracam uwagę na słowa "nad innymi". "Każdy niech będzie poddany władzom sprawującym rządy nad innymi."" Nad innymi" czyli "nie nade mną". Oto jak chytrym sformułowaniem św. Paweł daje bystrzemu czytelnikowi do zrozumienia, że najmilsza jego sercu jest anarchia.

2. "Nie ma bowiem władzy, która by nie pochodziła od Boga, a te, które są, zostały ustanowione przez Boga".

Niewątpliwie. Dopusty Boże od kogóż mogą pochodzić, jak nie od Boga?. Od Boga pochodzą władze Iranu i Republiki Południowej Afryki. Niektórzy twierdzą, że od Boga pochodzi wszystko: zło, siedem grzechów głównych, AIDS, nienawiść, okrucieństwo, padaczka itp. Nie wiem, czemu komuniści chełpią się tym sąsiedztwem. 19 VIII 1985 r. Jan Paweł II w Casablance w przemówieniu do młodych muzułmanów powiedział: "Bóg jest źródłem wszelkiej radości". Z olbrzymim smutkiem myślę sobie, że w takim razie Bóg jest też źródłem radości, którą oprawcy daje zabijanie bądź torturowanie. A swoją drogą nie widzi się przypadków spektakularnych nawróceń na wiarę w Boga wśród komunistów u władzy. U tej władzy, która od Boga pochodzi i przez Niego została ustanowiona. Co za czarna niewdzięczność.

3. "Kto więc przeciwstawia się władzy - przeciwstawia się porządkowi Bożemu. Ci zaś, którzy się przeciwstawili, ściągną na siebie wyrok potępienia".

W gruncie rzeczy te dwa zdania są ciężkim oskarżeniem komunistów i ich głównego sposobu dochodzenia do władzy - tego boskiego daru, którym nawet ateiści się nie brzydzą. Przeciwstawianie się "porządkowi Bożemu", dopóki jeszcze u władzy nie są, zajmuje pokaźną część ich historii, jak również i teraźniejszości pod różnymi egzotycznymi szerokościami geograficznymi. Najwyraźniej komuniści nie boją się "wyroku potępienia" i to tak ostentacyjnie, że wystarczy tylko na nich popatrzeć, aby sięgnąć samemu po tę dzierżoną przez nich władzę. Dają zły przykład i mają żal do tych, co się na nich wzorują. Teraz, gdy oni są u władzy, wszelkie rewolucje, a nawet i ewolucje, wydają się im zbyteczne.
Świetnie ich scharakteryzował Milan Simecka we wstępie do swojej książki "Przywrócenie porządku" /Wydawnictwo Krąg, Warszawa 1982, str. 3, bez nazwiska tłumacza/:

"Nie ma większych obrońców porządku, niż zwycięscy rewolucjoniści".

Z chwilą, gdy nowa, rewolucyjna władza już się ukonstytuuje, kiedy utworzy państwo i jego instytucje, gdy twórcy rewolucji zaczną zbierać owoce nowej sytuacji - porządek staje się pojęciem świętym. Eks-wodzowie powstania, inicjatorzy strajków, organizatorzy demonstracji ulicznych, kolporterzy nielegalnych druków, osoby przemyślnie ukrywające broń, partyzanci oraz dowódcy grup wypadowych niemal z dnia na dzień stają się wielbicielami porządku i najściślejszego legalizmu".

Jak tu się nie uśmiechać na myśl, że realny socjalizm to nic innego, jak "porządek Boży". A nie zabraknie i takich, co na ową myśl zapłaczą.

4. "Albowiem rządzący nie są postrachem dla uczynku dobrego, ale dla złego".

Hm. A jeśli komuniści w gruncie rzeczy nie zdają sobie z tego sprawy? Innymi słowy, jeśli nie nadają się do rządzenia? Jeśli cała władza w ręce Rad to to samo, co perły przed wieprze? Zadałem te pytania, bo podejrzewam komunistów o jeszcze jednego wodza duchowego: Kalego z niezapomnianej powieści "W pustyni i w puszczy".

5. "A chcesz nie bać się władzy? Czyń dobrze, a otrzymasz od niej pochwałę".

Ciekawe, że ci jej się nie boją, bądź co najmniej przełamują w sobie strach przed nią, którzy się jej przeciwstawiają, gdy uważają, że trzeba. Władza ich za to nie chwali, co wskazuje na jej daleko idącą pobłażliwość, bo oni /ci buntownicy/ boją się pochwał władzy.

Często też komuniści powołują się na inne słowa, tym razem samego Chrystusa: oddajcie Bogu, co boskie i cesarzowi, co cesarskie" /cytowałem z pamięci/. Przy czym nie precyzują, co jest boskie, a co cesarskie. Czyli pozwalają, byśmy rozstrzygnęli problem w swoim sumieniu? Nie, po prostu skąd ateiści mogą wiedzieć, co się Bogu należy? To znaczy, przepraszam, wiedzą: Boga nie ma, więc nic Mu się nie należy, wszystko cesarskie. I chciwa komunistyczna łapa wyciąga się po przekonania, po myśli, po godność - po wszystko. W ustach Chrystusa "cesarskie" oznaczało podobno podatki. Widocznie komunistom mało podatków. A w ogóle, do cholery, to co to ma znaczyć? Jak będziemy mieli wreszcie cesarza, to oddamy mu, co mu się należy, a na razie trzymamy to dla siebie, bo komu to dać?

I jeszcze jeden cytat, tym razem z "Myśli nieuczesanych" Leca: "Bogu co boskie, cesarzowi co cesarskie. A co ludziom?"

Komuniści czasem chcą też uczyć nas chrześcijańskiej pokory. Przypominają w tym celu słowa o nadstawianiu drugiego policzka. Od dawna przypuszczam, że w gruncie rzeczy chodzi im tylko o wolenie nas po pyskach. ●

Ze wspomnień Józefa Oxińskiego

Dość nieoczekiwane /Autor był dowódcą oddziału w Powstaniu Styczniowym i sympatyzował raczej z Czerwonymi/ sympatie dla wolnego rynku znajdujemy u Józefa Oxińskiego/ "Wspomnienia..." Warszawa 1955 r. PWN/

"... I wówczas ten kuglarski Napoleon III nie w imię jakichś mrzonek sentymentalnych, ale rachując się z faktami, na widok nie łez, lecz karabinów, nie próśb, lecz gorąco lejącej się krwi - może nie byłby posłał swych zastępów, mając w pamięci nieudany hazard swego wielkiego stryja, ale może cichaczem przesłałby na teren walki dostatnią ilość broni i amunicji, powierzając tę czynność do wykonania nie patriotycznym komitetom obywatelskim, lecz prostym agentom d'affaires, którzy przy pomocy naszych wydków rzecz by tę dokumentnie załatwili."

---

ze s. 22 Nie piszę też o szkodliwym wpływie na jakość naszego życia w każdej dziedzinie tzw. nomenklatury. Doprowadziła ona do spadku prestiżu Polski w całym świecie, bo stosowana jest nie tylko w sferze gospodarki ale i w dyplomacji /a zwłaszcza w dyplomacji!/. Po prostu trochę zmieniłem poglądy. Mam nadzieję, że gdy sektor prywatny zacznie działać w sposób nieskrępowany w warunkach uczciwej konkurencji z sektorem państwowym to życie zmusi partię, by w nomenklaturze zaczęła stosować zasadę selekcji pozytywnej. A o to chodzi. ➤ HB

Jerzy Łojek 1932 - 1986

Zmarły przedwcześnie historyk i pisarz był człowiekiem równie pracowitym, jak i wybitnie utalentowanym: ok. 25 książek naukowych i literackich, ok. 40 rozpraw specjalistycznych, ponad 150 esejów i artykułów prasowych.

Największym osiągnięciem naukowym Jerzego Łojka było ostatnie dzieło "O genezie i obaleniu Konstytucji 3 Maja" /Wyd. Lub. 1986 r./. W książce tej podjął wszechstronną polemikę z klanem naszych współczesnych specjalistów od wieku XVIII, gloryfikujących serwilistyczną politykę Stanisława Augusta, a potępiających sojusz polsko-pruski z 1790 r. zawarty przez patriotów sejmowych, wbrew przestrogom króla. Łojek przeciwstawił dzisiejszym historykom całkiem odmienną wizję wydarzeń, niezwykle sugestywną i opartą na odkrywczych badaniach źródłowych w archiwach zachodnioeuropejskich. Spór o rolę Stanisława Augusta w końcowym okresie dziejów I Rzeczpospolitej jest nie tylko sporem ściśle historycznym, ale sporem o zasady nadrzędne: Król przyjmował ruble z ambasady, przystąpił do Targowicy, podpisał haniebną abdykację, był człowiekiem bez godności osobistej i odwagi - twierdzi Łojek - nie zasługuje na miano wychowawcy narodu i reformatora Rzeczpospolitej, jak to usiłują dowieść niektórzy historycy /bynajmniej nie komunistyczni/ i estetyzujący intelektualiści. Gdyby Łojek niczego więcej nie napisał niż wspomniane dzieło, byłby to już wystarczający tytuł do jego niekwestionowanej pozycji w naszej historiografii.

Najbardziej poczytną książką Autora jest "Szanse Powstania Listopadowego", wydana w 1966 r. Czyta się ją jednym tchem, gdyż szkic ten prowokuje do myślenia, choć również do sporów z Autorem. Grozi on bowiem warstwy posiadające w Królestwie Kongresowym, za to, że nie dążyły do powstania. Istotnie, nie dążyły. Miniaturowe państewko, pomimo stopniowego ograniczania swobód konstytucyjnych, przeżywało niespotykaną w naszych nowszych dziejach prosperity gospodarczą. Nic dziwnego, że poza garstką młodzieży i biedotą miejską nikt nie chciał wojować z wszechpotężnym carstwem. Słusznie oskarża Łojek polską generalicję o zbrodniczą nieudolność i niechęć do prowadzenia zwycięskiej ofensywy wiosną 1831 r. Zapomina jednak, że gdyby Skrzynecki przejawił talenty wojskowe na miarę Bonapartego, należy wątpić, czy Prusy i Austria dopuściłyby do klęski Rosji. Niepodległość Polski nie leżała z pewnością w interesie mocarstw należących do "św. Przymierza". Mimo tych ryzykownych konstrukcji intelektualnych, książka młodego wówczas historyka była ogromnie potrzebna. W jałowych latach gomułkowskich inspirowała do refleksji: "czy Polacy mogą się wybić na niepodległość"?

Jerzy Łojek był również autorem głośnych wydawnictw drugiego obiegu. Jako Leopold Jerzewski napisał: "Agresja 17 września" i "Dzieje sprawy Katynia" /wydawnictwa "Głosu"/.

Odrębną pozycję w twórczości Autora stanowi "Kalendarz historyczny" wydany przez "Głos" w 1986 r. pod pseudonimem Antoniego Jałowieckiego. Jest to po prostu popularna historia Polski, opowiedziana na 365 stronach /1 strona = 1 dzień/ w sposób barwny i odpowiednio spuentowany. Znakomity "bryk", przeznaczony przede wszystkim dla młodzieży, ale i wszystkich wychowanych na sfałszowanych przez komunistów i przeraźliwie nudnych podręcznikach szkolnych. Prawdziwa to sztuka - przekazać tak wiele mądrych myśli i tyle wiedzy na tak małej powierzchni papieru. Nie oznacza to jednak, że z poglądami Autora, /zwłaszcza na temat roli powstań narodowych/ całkowicie się zgadzam. Zbyt poważnie traktuje on rolę mas ludowych w życiu narodu i mechanizmach historii.

Np. jego radykalizm w ocenie błędów "Solidarności" wydaje się stanowczo przesadny. Ale na tym polega siła oddziaływania Łojka, że nawet kiedy się myśli inaczej, nie można odmówić mu racji fundamentalnych. Był on bowiem bez reszty oddany sprawie niepodległości. Stąd jego bezkompromisowość, jego rygoryzm moralny w wartościowaniu wydarzeń i ludzi.

Jerzy Mikke

Listy...

Szanowni Panowie!

Dyskusja opozycji co do dróg narodu polskiego do wolności, reprezentowana jest obecnie przez dwa nurty rozważające wolność człowieka w zakresie bytu duchowego i materialnego.

W sferze duchowej jeden nurt powiada: bez jednostek "wolnych duchowo" nie można rozpocząć marszu narodu ku wolności. Drugi nurt stwierdza: istnienie "świętego człowieka" tj. całkowicie wolnego duchowo jest niemożliwe, co nie przeszkadza by poprzez stałe przemiany jednostek ku dobru i dzięki nim - naród bronił podstawowych zasad wolności i je poszerzał.

W sferze materialnej pierwszy nurt uznaje w gospodrce prymat społecznej własności środków produkcji. Drugi nurt uznaje, że system gospodarczy nie powinien sprzyjać którejś z form własności /np.: poprzez stopę podatkową, kredytową, dotacje, ulgi itp. /a jedynie preferować zasady ograniczające gromadzenie środków produkcji /monopolizację/ w jednych rękach /jednostki, grupy czy państwa/.

Za najbardziej reprezentatywnego przedstawiciela pierwszego nurtu uważam Adama Michnika. W książce "Z dziejów honoru w Polsce" Michnik pięknie odpowiada na pytanie: "jak ma się obronić człowiek przed zniewoleniem?". Autor omawiając traktat filozoficzny Henryka Elzenberga "Kłopot z istnieniem" tak formułuje "filozofię na czas głasowładztwa":

> "..... cnota nie zostanie wynagrodzona; jedyną nagrodą jest samo życie w godności.
> Inaczej mówiąc: wiem - tak naprawdę - że przecież nic nie wskóram; wiem, że cokolwiek przyniesie przyszłość, nie uzyskam zadośćuczynienia.
> Ale wiem także, że jedyny sens jaki nadawać mogę uporczywie swej egzystencji - to być po tej właśnie stronie: godności i odwagi; wolności i honoru; prawdy i sumienia".

Niewątpliwie postawa taka zbliża człowieka do stanu bycia wolnym, ale pojęcia użyte po stronie życia w godności są niepełne. Bo przecież pojęcie prawdy to także fakt istnienia: dobra i zła. Rozumiem, że autor jest po stronie dobra. Ale według jakich pojęć człowiek powinien kierować się w życiu aby dać świadectwo dobru. I dochodzimy tutaj do tych pojęć, są to: miłość i odpowiedzialność. Miłość do drugiego człowieka i jednocześnie odpowiedzialność za niego.

Gdy wypowiedź Michnika zostanie uzupełniona o przesłankę "miłości i odpowiedzialności", dopiero wówczas będzie skłaniać człowieka - przy zachowaniu podstawowych zasad etyczno-moralnych - do toleran-

cji odmiennych poglądów. Także o słowa te oraz o wiarę w metafizyczne zasady bytu duchowego należy uzupełnić przesłanki, na których oparli swą twórczość /umiemum że i życie/ przedstawieni przez Michchnika tacy twórcy jak Hanna Malewska, Zbigniew Herbert, Czesław Miłosz, Kamil Cyprian Norwid, Antoni Gołubiew czy Jan Józef Szczepański.

Jako reprezentanta drugiego nurtu wybrałem Stefana Kisielewskiego. Poza podanym opisem powyżej, nurt ten bliżej rozumiem następująco: dla przyspieszenia drogi jaką dąży naród do wolności - przy fakcie istnienia niezależnych struktur społecznych występujących w obronie wolnego bytu duchowego - koniecznym jest /poza umacnianiem się tychże niezależnych struktur: Kościół,opozycja/ zwrócenie większej uwagi na zdobywanie wolności gospodarczej przez jednostkę.
Dlaczego? Truizmem jest powtarzać o fakcie niezbędności dla wolności narodu, istnienia zrębów systemu demokratycznego. Aby jednak szukać dróg do wprowadzania demokracji, koniecznym jest świadomość wspólnych cech występujących we współczesnych krajach o mniej czy bardziej demokratycznym systemie. W krajach tych występują dwie zasadnicze cechy wspólne tj.: niezależne organizacje społeczno-polityczne i gospodarka wolnorynkowa.
Nim jednak w krajach tych dokonała się przemiana z systemu dyktatury na system w pewnym stopniu demokratyczny, to w momencie dokonywania się tych przeobrażeń istniała nielegalna opozycja oraz gospodarka wolnorynkowa.

Uznając doniosłość obu tych form zasad systemowych koniecznym dla przemian celem osiągnięcia progów demokracji i że obecnie w Polsce obok opozycji, wolny rynek istnieje szczególnie w szczątkowym stanie, dlatego pragnę w dalszej mojej wypowiedzi na nim się skoncentrować.

"Wolny rynek" jest tym bardziej powszechny w gospodarce im mniej jest w kraju monopolistów. Natomiast jednostka jest tym bardziej wolna ekonomicznie, im bardziej może uniezależniać się od właścicieli wszystkich trzech form własności /państwowej, grupowej i prywatnej/ poprzez istnienie stałej możliwości i warunków do zakładania własnego interesu.

Zatem w Polsce na obecnym etapie zachodzi potrzeba:

- z jednej strony wzmóc ciągły nacisk w kraju i za granicą, by władza odstąpiła od monopolu gospodarczego z uwagi na fakt, że dotychczasowa polityka gospodarcza stawia nasz kraj /oraz inne kraje obozu sowieckiego/ na coraz to bardziej niekorzystnym poziomie rozwoju w stosunku do krajów demokratycznych /wymóc aby rozpoczęła działalność Fundacja Rolnicza, Mieszkaniowa itp. aż po zaprzestanie ingerowania Państwa w gospodarkę/,
- z drugiej strony rozszerzać i popierać czynnie /w tym także poprzez tworzenie przychylnej opinii publicznej/ oficjalną i nieoficjalną /zarejestrowaną i niezarejestrowaną/ produkcję i wymianę towarowo-pieniężną prowadzoną przez i z prywatną inicjatywą /chłopów, zakłady przemysłowo-usługowe, rzemieślników, pośredników handlowych itd./.

Myśli tak sformułowałem, gdyż jestem rzecznikiem aby oba nurty opozycji dążące do wolności narodu polskiego, jednocześnie sprzyjały temu co jest tej wolności niezbędne tj. rozszerzaniu się i umacnianiu niezależnych struktur społeczno-politycznych oraz sprzyjały działaniom na rzecz "wolnego rynku". A za jedną z koniecznych natychmiastowych postaw jaką cała opozycja powinna już przestrzegać; jest zasada niekrępowania "wolnego słowa" poprzez torpedowanie przepływu wydawnictw o odmiennych poglądach, nie naruszających podstawowych przesłanek etyczno-moralnych niezbędnych dla człowieczeństwa.

Marian Orański

Julian TUWIM Pieśń o biciu

...A gdy będziesz to czytać, przyszły czytelniku,
To zęby ściśnij, to ściśnij pięści:
- Za rozpacz mego zdławionego krzyku
Za serce moje, szarpane na części!

* * *

Żydów biją! Wesoło! Ha-ha-ha!
Żydów biją! Będą i mnie bili!
Batogiem w pysk,
Nahajką w plecy,
Żelastwem w głowę,
Wesoło!!!
Bachorów żydowskich pisk!
(...Takich dzieciątek, jak są inne dzieci...)
Starców rzężenie, płacz kobiecy,
Dzikie hukania pogromowe - -
A pluńże mi, mój panie, w czoło!
A dajże wolę swoim kijom!!
Ha-ha-ha! Jak wesoło!
Żydów biją! Żydów biją!

Biją Polacy, Rosjanie,
Tak, tak: słomeczni Słowianie!
MNIE także będą bić!
A co pan myśli, mój panie?
Jak bić - to bić!
Ha-ha-ha! Za moje obłąkanie,
Żem chciał najdroższe ukochanie
Przez Polskę śnić,
Będą mnie bić - i mocno bić!!!

Hej staną wszyscy na zew,
Zakipi słowiańska krew,
Zobaczą mnie na ulicy
Ech - cisną się robotnicy
(Mój panie - aryjczycy!)
Czy zdołam gniew ich zmóc?
Tryśnie mi na twarz wstyd!
A oni krzyknął: Żyd!
Tłuc!

Wesoło! Och, jak cudownie!
Panie, ja jestem pijany,
Rozkoszą obłąkany!
Kołuje się wszystko w koło,
Pieśń mi w mym sercu gra:
Żydów biją! Wesoło!
Ha-ha-ha!

Panie... niechaj mnie pan pojmie:
Pięść ... kułak ... na policzku,
Na mej semickiej twarzy,
Ha-ha! Twarz pali, praży,
Ze wstydu, a nie z bólu.
Panie, niechaj mnie pan pojmie,
Że b i j ą ! Czy pan rozumie?
Mają - w mym nosie - rękojmię,
Że b i ć p o t r z e b a !
Ta święta w i a r a w tym tłumie!
Panie, czy pan to rozumie?!!!

Tu jest krwawa, święta gleba,
Tu jest - POLSKA, proszę pana!
Seraficzna, wyśpiewana,
Na której żyłem, cierpiałem,
Którą kocham i kochałem,
Którą wiecznie kochać będę,
O której snuję Legendę,
A mnie - będą bić!!!
Panie, czy pan rozumie?
Przecież w sobie teraz tłumię
Nawet wstręt do Żydów, gniew,
Panie - jam dziś jak geniusz!
Jak rozjuszony lew !
"Moja krew, moja krew"!
(Pamięta pan? to z "Wesela")
Panie, jestem egoistą,
Mnie tu idzie TYLKO O MNIE,
...Tak to ukochać ogromnie,
Tak się oddać ziemi duszą,
Wyśnić przyszłość cudną, czystą,
Polską - a więc nieskalaną,
Seraficzną, wyśpiewaną,
I przeczuwać Polski Dzień już
Po tych "nocach narodowych"
Kochać, płakać, marzyć, czuć ---
---A tu zaczną na mnie szczuć
Psy z podwórza! Zaczną drwić!
Zaczną w twarz ohydą pluć
I bić, mój panie! Tak: bić!!!

"Lepiej się puścić w tan..."
(A to znowu z Kasprowicza)
Chodźmy w tańce, w tańce, w tańce,
Chodźmy, cudni obłąkańce,
Będzie nam muzyka grać,
Będą pary tańczyć w koło,
Pod tę pieśń, mój panie drogi,
Że włos trzeba z głowy rwać,
Na rozstajne wybiec drogi,
Tańczyć, krążyć, szaleć, łkać,
Ustroić cierniem czoło
I zaryczeć: Ha-ha-ha!
Żydów biją!! Wesoło!!!

[redacted]

* Wiersz publikowany po raz pierwszy. Ukaże się on najprawdopodobniej jeszcze w tym roku nakładem "Czytelnika".

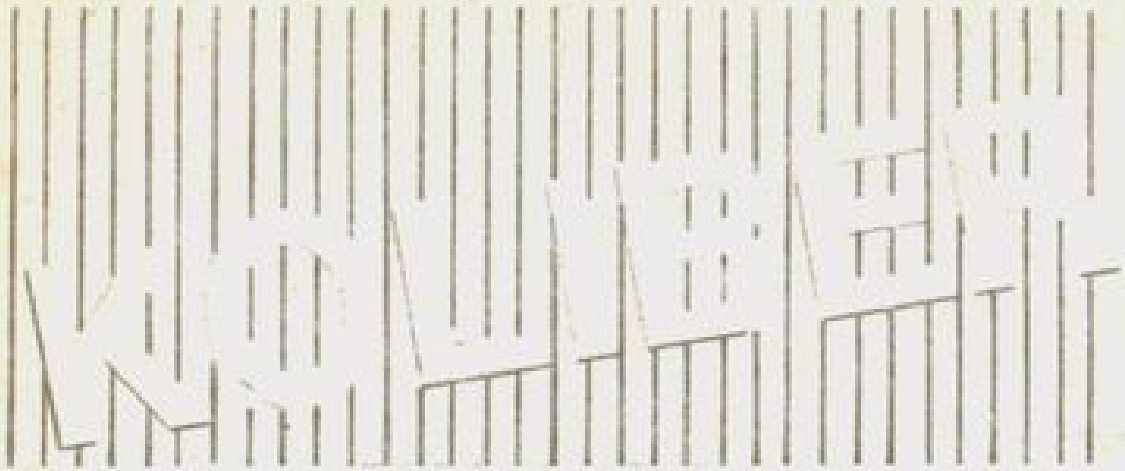

Pismo
KONSERWATYWNYCH LIBERAŁÓW
WROCŁAW

W chwili obecnej

CZEGO SIĘ NAUCZYLIŚMY:

Nauczyliśmy się: nie liczyć na Europę, na dyplomację, na mocarstwa, na rządy, bo wszystkie nas zawiodły. Na siebie tylko liczyć możemy, na własny dorobek, na to żeby być, w miarę sił, ale określoną, dodatnią liczbą i faktem.

Nauczyliśmy się: nie liczyć na ludy, na rewolucje: bo wszystkie nas zawiodły. Jeżeli które z nich nam sprzyjały, to z egoizmu, dla siebie, dla własnych widoków i celów.

Nauczyliśmy się, że naczelnym dogmatem politycznym dla nas musi być ten: że nie ma położenia bez wyjścia, że należy wszędzie i zawsze szukać modus vivendi, byle być i żyć.

Nauczyliśmy się, że warunków ciężkiego bytu narodu, że dorobku całych pokoleń na ryzyko hazardu narażać nie wolno.

Nauczyliśmy się, że ani dla równowagi europejskiej, ani dla zbawienia świata, nie jesteśmy nieodzownym warunkiem, że ani ludy ani rządy, konieczności odbudowania Polski nie uznają.

Nauczyliśmy się, że panowanie frazesu jest samobójstwem.

Nauczyliśmy się słuchać na trzeźwo zdrowego rozsądku, nie wyciągamy rąk do księżyca.

'Kraj' 1884 nr 1

Polemiki wewnątrz prawicy są, jak to już dziś wyraźnie widać, nie tylko czymś potrzebnym ale wręcz koniecznym. Koncentrowanie się na sporach i dyskusjach z lewicą grozi pogrążeniem się w intelektualnej łatwiźnie, wyjałowieniem umysłów oraz poddaniem się rutynie stereotypowych argumentów powtarzanych po raz setny. Ku polemikom z innymi kierunkami prawicy pcha liberałów wiara w twórczą moc konkurencji i przekonanie, że najwięcej zysków przynosi starcie z przeciwnikiem silnym. Starcie takie oprócz intelektualnych pożytków z niego płynących sprawia polemiście zwyczajną przyjemność.

xxx xxx xxx

Władysław Znicz - "Unionizm nadzieją świata". /Myśli i refleksje/. Warszawa br. roku wyd.
Władysław Znicz - "U źródeł unionizmu". Warszawa br. roku wyd.
"Unionizm". Warszawa 1981.
Andrzej Jurczykowski - "Polska racja stanu. Zadania polskiej polityki narodowej". Wrocław-Warszawa 1982. Wyd. UNH.

xxx xxx xxx

Unia Nowoczesnego Humanizmu - zarys programu

Wyjaśniam od razu dlaczego używam słowa "zarys". Ano dlatego, że z dostępnych mi materiałów Unii wyłania się nie jasny i konkretny program polityczny lecz raczej jego zarys ukryty pośród mnogości wątków historycznych, historiozoficznych i religijnych i przesłonięty nieco zbyt ogólną wizją "dobrego społeczeństwa". Unioniści starają się przede wszystkim formułować idee przewodnie unionizmu, pokazać jego tradycje, jego korzenie i źródła, naszkicować perspektywy. Jedynie Andrzej Jurczykowski przedstawia bardziej skrystalizowany program na dziś omawiając "Zadania chwili obecnej".

Niezwykle cenne w tekstach unionistycznych jest widzenie Polski i świata w perspektywie cywilizacyjnej a nie wąskopolitycznej, silny i zdecydowany ton w obronie zasad cywilizacji łacińskiej, przyjęcie jako zasady działania chrześcijańskiego imperatywu moralnego i wreszcie wyczulenie na niebezpieczeństwo płynące z dominacji lewicy. Na pełne uznanie zasługuje również popularyzacja przez unionistów postaci i koncepcyj prof. Feliksa Koneczego.

Program Unii Nowoczesnego Humanizmu to przede wszystkim program religijnego i moralnego odrodzenia, którego zwieńczeniem jest wizja jednoczącej zfederalizowanej Europy, jedności mającej swe oparcie w chrześcijaństwie. Unioniści proponując stworzenie chrześcijańskiej cywilizacji duchowej poprzez powrót do tradycyjnych wartości takich jak religia, rodzina, zdrowe obyczaje i wierność podstawowym zasadom moralnym proponują program "polityki cywilizacyjnej" - trudnej lecz dostępnej dla każdego, kto chciałby taką "politykę" uprawiać.

Odrzucenie radykalizmu politycznego, nieufność do działań kolektywnych znajdują swój wyraz /szczególnie silny w broszurze Andrzeja Jurczykowskiego/ w podkreślaniu wielkiego znaczenia codziennej pracy nad sobą, w trosce o pomnożenie sił moralnych i duchowych poprzez kontakt z Bogiem, w przykładaniu wielkiej wagi do dbałości o wychowanie i edukację młodzieży. Adresatem

takiego programu jest jednostka, której wola moralnego doskonalenia się i kształtowania swego charakteru stanowią w znacznej mierze o sile cywilizacji. Słusznie pisze A. Jurczykowski, że "nie wolno nam zaniedbywać rozwoju fizycznego młodzieży, gdyż siła i sprawność fizyczna każdego Polaka może w każdej chwili okazać się konieczna dla narodu" /dodajmy, że nie tylko dla narodu ale i dla samego Polaka również/. A Jurczykowski stwierdza dalej: "W pierwszej kolejności mamy obowiązek zwalczać alkoholizm, palenie tytoniu, narkomanię, erotomanię, zboczenia seksualne i inne nałogi osłabiające organizm". Tu zauważmy, że prof. Koneczny także zwracał uwagę, iż właśnie w cywilizacji łacińskiej zdrowie stało się tak bardzo pożądanym dobrem/.

Program unionistów wysuwając na plan pierwszy cele religijne i odbudowę cywilizacji jest w pewnej mierze zbieżny z fundamentalizmem amerykańskiej Moralnej Większości /Moral Majority/, która głosi powrót do wiary, religijny i moralny aktywizm, walkę z rozprzężeniem obyczajowym, zjednoczenie wokół celów moralnych, nadejście religijnego odrodzenia.

Nie muszę chyba specjalnie podkreślać jak bliskie jest mi dążenie unionistów do obrony i wzmocnienia cywilizacji łacińskiej, odrzucenie apatii i bierności /"bierni skazują się na los niewolników zbiorowości"/, nastawienie na osobisty udział każdego człowieka w przezwyciężaniu moralnego i cywilizacyjnego rozkładu. Osiąganiu tych celów przyświecać może myśl wyrażona przez prof. Koneczny: "Historię robi się zawsze, a całemi pokoleniami, z dnia na dzień, bez jednego dnia przerwy"/"Polskie Logos i Ethos. Rozważania o celu Polski. Poznań 1921/

Koncepcje ustroju politycznego

Unionistyczna koncepcja ustroju politycznego, trzeba to z żalem przyznać, jest niejasna i mało konkretna, oparta jest bowiem na szlachetnych a przez to dość ogólnikowych hasłach takich jak: ta sama etyka w życiu prywatnym i publicznym, odnowa moralna demokracji, unia postępowa państwa z Kościołem, równouprawnienie prawicy i lewicy czyli rozwój antynomialny, władza w państwie pochodzi od Boga i od narodu, równowaga wolności i autorytetu na gruncie prawa, ideokracja czyli rządy prawdy itp. Mało uwagi natomiast poświęca się w niej sprawom praktycznym a więc tym, które ostatecznie decydują o przydatności takich czy innych rozwiązań polityczno-prawnych. Krytycyzm unionistów wobec dotychczas istniejących systemów politycznych nie zostaje niestety zrównoważony precyzyjnością własnych propozycji. Np. twierdzenie, że statystyczne prawo liczby będące podstawą demokracji winno być uzupełnione przez moralne prawo słuszności może być interesującym postulatem /dla zwolenników demokracji oczywiście/, nie bardzo jednak wiadomo jak ten postulat miałby być realizowany. Unioniści postulują równouprawnienie lewicy i prawicy uważając, że o b a te stanowiska są prawdziwe /!/ - dlatego powstać musi ustrój antynomialny czyli równoważący i uzgadniający przeciwieństwa. Można oczywiście sądzić, że da się połączyć ogień z wodą, ale należy wówczas zaproponować sposób takiego połączenia a tego unioniści niestety nie czynią.

Przyznam szczerze, że wizja państwa unionistycznego, w którym "nie rządzi autorytarnie ani zwierzchnik ani naród lecz idea, w imię której głowa państwa sprawuje władzę a obywatele są jej posłuszni" mnie nie zachwyca. Uważam bowiem, że idea może rządzić umysłami ludzi, ale ludźmi rządzili, rządzą i będą rządzić inni ludzie.

W żadnej publikacji Unii nie znalazłem próby rozwiązania centralnego zagadnienia ustroju a mianowicie zakresu władzy

państwowej. Jeśli zaś chodzi o sposób powoływania władzy to są unioniści zwolennikami odnowionej demokracji. Ta odnowa demokracji polegać ma na uzupełnieniu władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej władzą kierowniczą /senatem/. Rozwiązanie takie uznać należy za całkiem sensowne i co ciekawe zbieżne poniekąd z koncepcją demarchii sformułowaną przez prof. Hayeka. O ile jednak jeden z najbardziej znanych w świecie neoliberałów stara się swój pomysł skonkretyzować, dodajmy napotykając na niemałe trudności, o tyle propozycja wysunięta przez Unię i przedstawiona w książce Władysława Znicza "U źródeł unionizmu" grzeszy nadmiarem ogólnikowości /Znicz pisze również o prezydencie jako władzy suwerennej nie precyzując bliżej o co mu chodzi/. Władzę kierowniczą wyłaniają spośród siebie cztery elity: ekonomiczna, moralna, polityczna i akademicka. Ponadto część senatorów mianuje prezydent, a stosunek procentowy elit ustala Konstytucja. Autor nie wyjaśnia jednak jak tworzyć się mają poszczególne elity, jakie kryterium będzie rozstrzygać o przynależności do nich itd. Znicz mnoży nieporozumienia utożsamiając społeczność ekonomiczną z elitą ekonomiczną nazywaną przez niego Radą Główną Gospodarczą, społeczność moralną z elitą moralną czyli Radą Episkopatu, społeczność polityczną z elitą polityczną czyli Radą Polityczną Obrony Państwa i wreszcie społeczność akademicką z elitą naukową czyli Radą Główną Naukową. Czym innym jest społeczność ewentualnie elita będąca zbiorem ludzi, zbiorem płynnym i zmiennym a czym innym Rada a więc ciało o stałym i ograniczonym składzie. Znicz nie mówi kto i jak powołuje Rady i jakie jest ich miejsce i zakres kompetencji w całym systemie politycznym. Za chwilę pisze jednak, że Rady są organami wykonawczymi tych społeczności. Albo autor popada w sprzeczność z tym co napisał poprzednio albo też traktuje temat niedbale, co zważywszy znaczenie ustroju konstytucyjnego, jest niedopuszczalne.

Znicz proponuje, aby projekty ustaw wnoszonych do sejmu były akceptowane przez senat i sądzi, że takie rozwiązanie wprowadzi do życia politycznego etykę i moralność. Jednak, jak można przypuszczać, sam skład senatu nie zagwarantuje "odnowy moralnej" demokracji. Mogłoby to nastąpić wówczas gdyby nastąpiła zmiana funkcji senatu, który nie zajmowałby się ustawami lecz ustalaniem stałych, najbardziej generalnych praw i stałby na straży uniwersalnych reguł zachowania /działania/ stosowanych do nieznanej ilości przyszłych wypadków i w sposób identyczny do wszystkich osób niezależnie od efektów jakie pociąga za sobą "posłuszeństwo" regule w poszczególnych sytuacjach. Taki senat byłby nie tyle instrumentem woli /władza kierownicza/ ale organem opinii, interesowałyby go nie tyle cele co wartości w sensie ogólnych reguł i zasad. Tak pomyślany senat mógłby stać się /choć osobiście w to wątpię/ zaporą przed błędami i wypaczeniami demokracji.

Projekt "konstytucji narodowej" wysunięty przez Unię i przedstawiony przez Władysława Znicza wymaga jak sądzę nowego opracowania polegającego na pozbawieniu go czysto deklaratywnego charakteru i oparciu na bardziej jasnych i precyzyjnie sformułowanych podstawach. W przeciwnym razie pozostanie jedynie zbiorem pięknych słów pobudzających naszą wyobraźnię, ale niczym więcej.

Obrona zasady autorytetu, "moralna odnowa demokracji", mocne zaakcentowanie roli elit to wielka zasługa Unii. Szkoda byłoby gdyby nadmiar "moralnej" retoryki i pełnego dobrych chęci wielosłowia zasługę tę zniweczył.

Unionizm a gospodarka

Unioniści piszą o gospodarce sporo choć jak na mój gust o wiele za mało. Trudno też byłoby znaleźć w ich programach jakiś w miarę spójny system zasad określających sposób funkcjonowania gospodarki.

Bardzo cenne, acz dalece niewystarczające jest np. potępienie piętrzenia barier celnych i autarkii gospodarczej. Niezwykle ważny jest również postulat upowszechnienia własności. Niestety jego waga została znacznie osłabiona brakiem sprecyzowania sposobów służących osiągnięciu tegoż upowszechnienia. Niezależność gospodarczą jako drogę do niezależności i siły narodowej bardzo mocno akcentuje Andrzej Jurczykowski. Pisze on m. in.: "Należy dołożyć starań, aby w niedalekiej przyszłości okazało się możliwe uruchomienie własnej, niezależnej działalności bankowo-kredytowej".

Trzeba jednak ze smutkiem przyznać, że wiele twierdzeń, ocen i pomysłów dotyczących gospodarki świadczy o niedoskonałym rozumieniu przez unionistów zasad cywilizacji łacińskiej. Chociaż przyznają się oni, że uczęszczali do szkoły prof. Koneczego, to niezbyt się chyba do nauki przykładali. Unioniści zdają się nie zauważać, że np. ich projekt "nowego ustawodawstwa społecznego" musi przynieść w konsekwencji wzrost centralizacji i etatyzacji życia społecznego. Z kolei twierdzenie, że "ubezpieczenia społeczne, sądownictwo pracy, słuszne płace i umowy zbiorowe to dopiero początek rewolucji jaka musi być zrobiona" budzi przerażenie jeśli uświadomimy sobie, że owa "rewolucja" musi w praktyce oznaczać rozrost biurokracji i zmniejszenie obszarów życia niepodległych kontroli państwa. Wiara w sprawczą moc prawodawstwa, w jego regulatywną siłę nie wynika w żaden sposób z zasad cywilizacji łacińskiej. Wiarę taką zaliczyłby zapewne prof. Koneczny do przejawów cywilizacji bizantyńskiej lub żydowskiej. Jak inaczej niż poprzez państwowy przymus można walczyć z "próżniactwem, pasożytnictwem i konsumpcyjnym a nie twórczym stosunkiem do życia". Od rządu oczekują unioniści opieki nad wszystkimi "formami społecznie twórczymi". Czyim zadaniem, jak nie urzędników państwowych, miałoby być zwalczanie "wszelkich form spekulacji oraz konsumpcyjnego stosunku do kapitału"?

Unioniści żądają: "Dochód z własności ma podlegać kontroli społecznej". Ale przecież "kontrola społeczna" to fikcja. Istnieje jedynie kontrola sprawowana przez rząd i jego agendy. Niechaj unioniści pamiętają o przestrogach prof. Koneczego: "Można powołać do życia nowe osobne urzędy, któreby kontrolowały wszelką własność, czy właściciel jej nie "nadużywa". Ależ to robią już bolszewicy, można od nich brać wzór! Bez porównania więcej szkód byłoby z ograniczenia własności niż z "nadużyć", które byłyby zawsze czynem wyjątkowym. Ci zaś, którzy gotowi są ścieśniać tytuł własności, niech pamiętają, że wkraczają na równię pochyłą, na której nie sposób będzie zatrzymać upadek". /"Prawa dziejowe ", Warszawa, br. r. w. cz. II, str. 216/.

Kolejnym, a w konsekwencjach zgubnym nieporozumieniem jest projekt aby odpowiednia organizacja ustroju społeczno-gospodarczego dała "każdemu bezpłatne wykształcenie, podług jego zdolności i wyboru drogi życiowej oraz dobra kulturalne jak: wywczasy, podróże, estetyczne mieszkania, kulturalne i higieniczne warunki pracy, sport i wychowanie fizyczne, teatr, radio, kino, muzykę, obrazy, książki etc.". Ciekawe kto poniesie koszty tych "bezpłatnych" dóbr. Nie trzeba dodawać, że pomysły unionistów zostały już przynajmniej częściowo zrealizowane w ... komunizmie.

Zauważmy na marginesie, że "bezpłatna" oświata i kultura likwiduje w rzeczywistości możliwość tworzenia się autentycznych elit. Dawanie darmo demoralizuje biorących, zabija w nich chęć ponoszenia wysiłków w dążeniu do osiągnięcia wyższego poziomu kulturalnego, zaprzecza podstawowej dla kształtowania się elit zasadzie, że do kultury trzeba dorastać, że trzeba się natrudzić i samemu otworzyć sobie dostęp do wartości.

Jest również oczywiste, że upowszechnieniem "bezpłatnej" oświaty i kultury musi zająć się rząd i jego funkcjonariusze. A więc kolejna dawka bizantyńskiego etatyzmu i rozrost pasożytniczej biurokracji. Jaki to ma wpływ na poziom oświaty i kultury nie wymaga chyba bliższych objaśnień. Znamy to z własnego doświadczenia. Aż dziw bierze, że unioniści tak dalece nie potrafią zrozumieć, że realizacja ich pomysłów stanowi nie wzmocnienie ale osłabienie cywilizacji łacińskiej.

Z powielanymi przez Unię sloganami w rodzaju "prawdziwego wyzwolenia pracy" z braku miejsca i ochoty polemizował nie będę. Powiem tylko, że można wyzwolić c z ł o w i e k a np. nadając wolność niewolnikowi, aby mógł swobodnie i na własny rachunek pracować. Natomiast "pracy" wyzwolić nie można. Po prostu nie da się i już.

Unioniści winni wystrzegać się szlachetnych fantazji w rodzaju: "zacierać się będzie coraz bardziej podział między pracą a sztuką". Prowadzą one bowiem duchową energię człowieka ku chimerom wymyślonym przez pięknoduchów i rewolucjonistów, którzy z pracą niewiele mieli wspólnego, a którzy są w istocie zaciekłymi wrogami zasad cywilizacji łacińskiej.

Niektóre ze sformułowań występujących w tekstach unionistycznych wzbudziły we mnie autentyczny dreszcz przerażenia np. gdy mowa o "syntezie mas pracujących i warstwy twórczej kultury". Ależ to zostało już dawno zrealizowane w państwie nazywającym się Soviet U n i o n .

Ze strachem oczekuję nadejścia przepowiadanego przez unionistów dnia, w którym powstanie"jednolity organizm pracy i produkcji, kierowany przez naukę i sztukę czyli przez zbiorowy rozum twórczy". Wolałbym, żeby moją pracą i produkcją kierował mój własny rozum. Ów"zbiorowy rozum twórczy" za bardzo przypomina mi "zbiorową mądrość klasy robotniczej". Kierowanie pracą i produkcją przez tę"mądrość" nie przyniosło jak dotąd najlepszych rezultatów.

Nazbyt często przywiązanie do własnych wizji "nowego społeczeństwa" /aprioryczych i powstałych z medytacji jakby powiedział prof. Koneczny/ nie pozwala dostrzec unionistom realnego zagrożenia dla wolności i pomyślności jednostki, które kryje się w ich pomysłach. Jest doprawdy szokujące, że ktoś może "poważnie wysuwać dzisiaj postulat utworzenia "międzynarodowej organizacji politycznej i gospodarczej, normalizującej rozmieszczenie ludności, rozdział surowców i rywalizacje o rynki zbytu oraz likwidującej w zarodku zarzewia kataklizmów wojennych". Wypełnianie zadań jakie unioniści stawiają przed tą światową organizacją wymagałoby obdarowania jej kompetencjami, przy których blednie omnipotencja państw XX-wiecznych. Czy autorzy wyżej cytowanych słów zdają sobie sprawę, ile cierpień i niesprawiedliwości kryć się może za niewinnym sformułowaniem "normalizacja światowego rozmieszczenia ludności"? Czyż nie prościej starać się o zniesienie barier imigracyjnych wznoszonych przez rządy i utrudniających wolny przepływ ludności?

Unioniści choć często powołują się na prof. Konecznego czytali go chyba dość pobieżnie. Gdyby było inaczej nie postulowaliby odrzucenia walki o byt. Prof. Koneczny rozpatrywał walkę o byt /konkurencję/ w trzech płaszczyznach: materialnej, moralnej i intelektualnej żadnej z nich nie odmawiając prawa do istnienia, a wręcz przeciwnie uznawał, że są one ze sobą ściśle związane, a związek ten jest charakterystyczny właśnie dla cywilizacji łacińskiej, która by żyć musi rosnąć i dążyć do ekspansji.

"Twórczym rozwinięciem" nauk prof. Konecznego w pułapce aprioryzmu i idealizmu jest stwierdzenie W. Znicza, który pisze ni mniej ni więcej, że unionizm "pragnie eliminować walkę cywi-

lizacyj/.../poprzez przyjęcie chrześcijańskich zasad moralnych w stosunkach między narodami". Myślałby kto - eliminować walkę cywilizacyj! Prof. Koneczny przewraca się w grobie słysząc podobne enuncjacje. Ale pragnienie eliminacji walki cywilizacyj to jeszcze nic. W. Znicz całkiem serio uważa, że można "powiązać wielość cywilizacji w j e d n o ś ć k u l t u r y powszechnej, w której azjatycka idea postępu osobowości przez indywidualną kontemplacje pustelniczą połączy się z europejską ideą przebudowy moralno-ustrojowej, tzn. C z y n u społecznego". Prof. Koneczny nie mógł chyba przewidzieć, że znajdzie się ktoś, kto przyznając się do jego nauk będzie równocześnie postulował syntezę emanatyzmu i kreacjonizmu, dwóch całkowicie przeciwstawnych i niemożliwych do połączenia ideałów religijnych stanowiących o odrębności cywilizacyj. Życzę powodzenia W. Zniczowi w staraniach o "zjednoczenie w w y ż s z e j syntezie europejskiej kultury Słowa i azjatyckiej kultury Absolutu".

Unioniści głosząc takie idee jak: nastanie ery, w której dominować będzie unionistyczna kultura pracy, zjednoczenie ludzkości w prawdzie, dążenie do świadomości wszechludzkiej, powstanie w miejsce "starego człowieka" egoistycznego i historycznie biernego , "nowego człowieka" - twórczego, uspołecznionego /!/ i stwarzającego własnym wysiłkiem coraz to nowe wartości w sobie i otoczeniu - narażają się na to, że zostaną zaliczeni do owych "reformatorów, z których ani jeden nie byłby zdołał urządzić porządnie jednej gminy, ale każdy reformował od razu ludzkość całą" /F. Koneczny, "Polskie Logos i Ethos. op. cit./

Chęć reformowania ludzkości, elementy mesjanizmu, postulowanie uniwersalnych rozwiązań nie uwzględniające odmienności cywilizacyj /"System unionistyczny, doprowadzony do ostatecznej konsekwencji, wymaga rozciągnięcia jedności polityczno-gospodarczej oraz religijnej i kulturalnej na całą ludzkość"/, projektowanie przyszłości świata, marzenia o z j e d n o c z o n y m wysiłku wszystkich narodów w dziele reformy itp. nie pozwalają niestety zaliczyć unionistów do konsekwentnej prawicy /oni sami odrzucają podział na lewicę i prawicę uważając, iż należy dokonać syntezy obu kierunków/. Prawica kwestionuje bowiem możliwość osiągnięcia idealnego porządku społecznego, a wszelkie dążenia ku społecznej doskonałości traktuje jako niebezpieczne złudzenia będące karykaturą myślenia religijnego. Ludźmi prawicy kieruje nie wzniosłe wizjonerstwo lecz praktyczny rozum. Podstawą ich stosunku do świata i polityki jest "realistyczne, pozbawione iluzji trwanie przy sprawdzonej codzienności".

Unioniści budując swoją wizję /bo nie program/ na wzniosłym ideale moralnym zapominają o przestrodze sformułowanej przez Edmunda Burkego, który z niezwykłą przenikliwością dostrzegał, iż każdy polityczny system biorący za podstawę ponadludzkie lub heroiczne cnoty stanie się przyczyną występku i korupcji. Unioniści tak często odwołujący się do chrześcijaństwa zapominają o istnieniu Szatana, a więc o tym, że próby zbiorowego urzeczywistnienia pięknych ideałów siłości i prawdy niweczone są przez ludzkie namiętności, nigdy nienasycone apetyty, słabości charakteru, jednym słowem przez grzech.

Człowiek mający realizować ideały Unii to wyimaginowany człowiek filozofów, obcy polityce operującej tylko tym co istnieje. Unia Nowoczesnego Humanizmu powinna, mym zdaniem, wyrzec się iluzji perfekcyjnego społeczeństwa, iluzji niezwykle niebezpiecznej i niewiele różniącej się od socjalistycznych utopii tak ostro skądinąd zwalczanych przez unionistów.

MAURYCY ROJSKI

CHICAGO BOYS

W tej rubryce kontynuujemy prezentacje klasyków myśli neoliberalnej.

LORD LEON KAROL ROBBINS /ur. 1898/ - angielski ekonomista, profesor Londyńskiej Szkoły Ekonomicznej i New College w Oxfordzie, przewodniczący Królewskiego Towarzystwa Ekonomicznego 1954-1955. Autor wielu książek m. in. The Great Depression - 1934 /Wielka depresja/ , The Economic Basis of Class Conflict - 1939 /Ekonomiczne podłoże konfliktu klasowego/, The Economic Causes of War - 1939 /Ekonomiczne przyczyny wojny/, The Economic Problem of Peaceand War - 1947 /Ekonomiczne problemy pokoju i wojny/, The Economist in the Twentieth Century - 1956 /Ekonomiści w dwudziestym wieku/, Politics and Economics - 1963 /Polityka i ekonomia/, The University in the Modern World - 1966 /Uniwersytet we współczesnym świecie/, The Theory of Economic Development in the History of Economic Thought - 1968 /Teoria rozwoju gospodarczego w historii myśli ekonomicznej/, Money and Trade and International Relations - 1970 /Pieniądz, handel i stosunki międzynarodowe/, Autobiography of an Economist - 1970 /Autobiografia ekonomisty/. Publikował artykuły w Economic Journal, Economica, Lloyds Bank Reviev i in. Poniższy fragment jest zakończeniem książki The Great Depression wydanej w 1937 r. w Warszawie jako "Wielkie przesilenie gospodarcze".
Przekładu dokonał Ludwik Krzyżanowski, przejrzał, i poprzedził przedmową Adam Heydel.

Economic Planning and International Order - 1937 /Planowanie ekonomiczne i ład międzynarodowy/.

Na całym świecie rządy dzisiejsze zajmują się w skali, niespotykanej dotychczas w historii, ograniczeniem handlu i przedsiębiorczości, i podkopywaniem podstawy kapitalizmu. Taka polityka nie ogranicza się do socjalistów. Można nawet powiedzieć, że władza polityczna partii socjalistycznych w wielu częściach świata słabnie. Ale ich przeciwnicy, dyktatorzy i reakcjoniści, są ożywieni tymi samymi ideami. Byłoby zupełnie błędnym przypuszczać, że zwycięstwo narodowych socjalistów i faszystów, jest klęską sił, dążących do zniszczenia kapitalizmu. Mają oni tę samą fantastyczną nienawiść do liberalizmu gospodarczego, te same nadzieje na gospodarkę planową. Różnice są tylko w stopniowaniu. W Niemczech jest zbrodnią, zasługującą na tortury i wygnanie - być Żydem; w Rosji - posiadać dwie krowy. W spokojniejszym angielskim społeczeństwie różnice poglądów także nie polegają na sprzecznościach ekonomicznych. Niewątpliwie ich przyjaciołom i kolegom wydaje się być olbrzymią różnicą, czy program agrarny pochodzi od majora Elliott'a czy dra Addisona. Z ekonomicznego punktu widzenia jednak, występuje spójność tej polityki.

Polityka tego rodzaju ma, jakeśmy widzieli, tendencję kulminacyjną. Prowadzi ona do typu społeczeństwa, które prawdopodobniej będzie mniej stałe, mniej swobodne, mniej produktywne niż nasze. Prowadzi również do wzrostu nacjonalizmu i do powiększenia przyczyn, prowadzących do walki społecznej. Ludzie nie wytrzymają w nieskończoność gospodarki katastrofalnych fluktuacyj. Nie zgodzą się również bez głuchego protestu, na przeciągające się zubożenie. Nie będziemy mogli zrozumieć związku

spraw, jeśli będziemy przypisywać zamęt społeczny i chaos nacjonalistyczny kontynentu europejskiego, w całości, złej woli gwałtownych ludzi, czy brakowi umiejętności przewidywania u twórców traktatów. Na siły dążące do nacjonalizmu i gwałtów wewnętrznych, wywarły niewątpliwie wpływ i takie czynniki. Ale zostały niezmiernie wzmocnione przez rezultaty polityki gospodarczej. Owi nieszczęśliwi, którzy zostali zabici niedawno na ulicach Wiednia, byli ofiarami nie tylko antydemokratycznej polityki, byli również ofiarami polityki gospodarczej, która pochłonęła kapitał przemysłu, a przez wytworzenie rozpaczliwego zubożenia wywołała gwałtowną reakcję. Możliwe, że pod szczęśliwszym angielskim niebem dany był społeczeństwu okres wytchnienia. Anglia nie zaszła jeszcze daleko po drodze austriackiej. Ale Anglicy mylą się jeśli myślą, że mogą w nieskończoność wytrzymywać fluktuacje, obecnego stopnia nasilenia.
Mówi się czasem, że taki rozwój jest nieunikniony. Twierdzi się, że zmiany polityki, które by były potrzebne celem odwrócenia go, są niemożliwe, ponieważ ludzie ich nie zniosą. Bez względu na to, czy chcemy, czy nie, świat współczesny jest nastawiony na tworzenie instytucyj i zwyczajów, które powodują niestałość. Protest nie przyda się na nic. Możemy tylko płynąć z prądem.

Tego rodzaju stanowisko jest niewątpliwie nierozsądne. Jeśli można wykazać, jak dowodzono w tej książce, że postępowanie według tej polityki prowadzi do braku stabilizacji i nędzy, i jeśli można również wykazać, że tych klęsk da się uniknąć tylko,przyjmując politykę w danej chwili niepopularną, to jest niewątpliwie szaleństwem tego nie powiedzieć. Istotnie nie można uwierzyć, żeby większość ludzi w społeczeństwach demokratycznych tak kochała nędzę i nieustalenie stosunków, że gdyby ich przekonać, że jakaś polityka prowadzi w tym kierunku, popieraliby ją w dalszym ciągu. Przeciwnie, jasne jest, że obecnie popierają taką politykę, ponieważ wierzą - błędnie, jak tu dowodzono - że prowadzi do większej stabilizacji i postępu. Gdyby byli przekonani o czym innym, czyż można wątpić, żeby ją porzucili?

Ale czy takie rzeczy mogą się zdarzać w społeczeństwach demokratycznych? Czyż ludzie mogą kierować się rozsądkiem? Czyż większość ludzi nie jest tak ograniczona w horyzontach i tak skrępowana uprzedzeniami, że beznadziejne jest usiłowanie dyskusji z nimi?

To jest do pomyślenia. Ale historia świata współczesnego nie potwierdza tej tezy. Polityka obecnie panująca została przyjęta nie dlatego, że została wymuszona na politykach przez masy, lecz ponieważ masy nauczono w nią wierzyć. Masy, jako takie, nie myślą same; myślą, co im przywódcy narzucili. A pojęcia, które na szczęście, czy na nieszczęście, opanowały politykę, są pojęciami, które zostały wysunięte z początku przez oderwanych i odosobnionych myślicieli. Jeśli kierunek polityki w Wielkiej Brytanii i w ogóle w świecie współczesnym jest dzisiaj przytłaczająco socjalistyczny, nie dzieje się tak dlatego, że jest ona podyktowana obiektywnymi warunkami sytuacji, ani też dlatego jakoby masy jednomyślnie zażądały reorganizacji produkcji. Dzieje się tak dlatego, ponieważ ludzie intelektu, ze zdolnością rozumowania i przekonywania powzięli ideą socjalistyczną i stopniowo przekonali swych bliźnich. Tak samo rzecz przedstawia się z polityką monetarną. Zarządzenia ostatniego dziesięciolecia są wynikiem, nie spontanicznego nacisku ze strony wyborców, lecz wpływu szeregu ludzi, których nazwiska możnaby wyliczyć na palcach jednej ręki. Nie ocenimy w pełni tragizmu tego aspektu obecnej sytuacji, jeśli nie uświadomimy sobie, że jest zasadni-

czo dziełem ludzi intelektu i dobrej woli. Prawda, że na krótką metę idee są mało ważne i nieskuteczne, ale na dalszą metę mogą rządzić światem.

Nie ma przeto powodu do rozpaczy, na tej podstawie, że rozsądek jest z konieczności bezsilny. Możliwe, że siły wyzwolone przez idee sprzed czterdziestu lat, stały się tak potężne - tak przeładowane po prostu mechanicznym rozmachem, że dziś za późno już, by je wstrzymać. Byłoby nierozsądnym ignorować bardzo duże prawdopodobieństwa, że tak jest. Ale dopóki oskarżenia, które, jak wykazało doświadczenie i świeży rozwój wiedzy, można przeciw nim wytoczyć, nie zostaną poparte argumentami, z taką samą cierpliwością i bezinteresownym wysiłkiem myśli, jak te, które poświęcono na rzecz ich rozwoju, nie jesteśmy upoważnieni do wyciągnięcia wniosku, że rozum i perswazja osiągnęły granice swej skuteczności. Warto w każdym razie spróbować.●

Kto I dlaczego nie lubi kapitalizmu?

W trzecim odcinku z cyklu "Kto i dlaczego nie lubi kapitalizmu" Ludwik von Vises omawia postawy urzędników. Tekst pochodzi z wydanej w 1956 roku książki "Mentalność antykapitalistyczna".

Urzędnik oprócz tego, że wykonuje swoją pracę nękany ogólną nienawiścią do kapitalizmu właściwą większości ludzi, ma również inne utrapienia specyficzne dla kategorii, do której należy.

Siedząc za biurkiem i przelewając na papier słowa i liczby skłonny jest przeceniać znaczenie swojej pracy. Podobnie jak jego szef, pisze i czyta to, co napisali jego koledzy i rozmawia bezpośrednio lub telefonicznie z innymi ludźmi. Pełen zarozumiałości wyobraża sobie, że należy do elity zarządzającej przedsiębiorstwem i porównuje swoje zadania z zadaniami swojego szefa. Będąc "pracownikiem umysłowym" arogancko i z wyższością patrzy na robotnika, który ma usmarowane i stwardniałe ręce. Do wściekłości doprowadza go fakt, że wielu spośród robotników otrzymuje wyższe płace i cieszy się większym szacunkiem niż on. Co za wstyd, myśli, że kapitalizm nie ceni jego "intelektualnej" pracy zgodnie z jej "prawdziwą" wartością, pieści się natomiast ze zwykłą harówką ludzi bez wykształcenia.

Pielęgnując takie atawistyczne przekonania na temat znaczenia pracy biurowej i fizycznej urzędnik nie potrafi realistycznie ocenić sytuacji. Nie dostrzega, że jego własna urzędnicza praca polega na wykonywaniu rutynowych zadań wymagających niewielkiej praktyki, podczas gdy "fizyczni", którym zazdrości , to mechanicy i technicy o wysokich kwalifikacjach obsługujący skomplikowane maszyny i urządzenia współczesnego przemysłu. Ta błędna ocena prawdziwego stanu rzeczy ujawnia brak wnikliwości i zdolności rozumowania.

Z drugiej strony urzędnik, tak jak ludzie innych zawodów, dręczony jest codziennymi kontaktami z ludźmi, którym powiodło się lepiej niż jemu. Widzi, że niektórzy jego koledzy startują-

cy z tego samego poziomu co i on robią karierę w hierarchii urzędniczej podczas gdy on wciąż tkwi w tym samym miejscu - na dole. Jeszcze wczoraj, myśli, Paweł miał taką samą pozycję jak ja, a dzisiaj ma ważniejsze i lepiej płatne stanowisko, mimo, że pod każdym względem jest gorszy ode mnie. Z pewnością Paweł zawdzięcza swój awans tanim chwytom i podłym sztuczkom, które pomagają człowiekowi robić karierę tylko w tak niesprawiedliwym systemie jakim jest kapitalizm, piętnowanym we wszystkich książkach i gazetach i wskazywanym przez wszystkich uczonych i polityków jako przyczyna wszelkiego zła i nieszczęść.

Klasycznym wyrazem zarozumialstwa urzędników i fantastycznego przekonania, że ich własne, drugorzędne czynności są częścią działań enterprenerskich i pokrywają się z pracą ich szefów, można znaleźć w leninowskim opisie "kontroli nad produkcją i podziałem". Sam Lenin i większość jego towarzyszy konspiratorów nigdy nie nauczyli się niczego o działaniu ekonomii rynkowej i nigdy nie chcieli się nauczyć. Wszystko co wiedzieli o kapitalizmie to to, że Marx przedstawił go jako najstraszniejsze zło.

Byli zawodowymi rewolucjonistami. Jedynymi źródłami ich dochodów były fundusze partyjne pochodzące z dobrowolnych składek, a częściej z wymuszonych datków albo uzyskane z ekspropriacji. Ale przed 1917 rokiem, jako emigranci w Zachodniej lub Środkowej Europie niektórzy towarzysze podejmowali od czasu do czasu pracę na podrzędnych stanowiskach w przedsiębiorstwach handlowych. Ich doświadczenia - doświadczenia urzędników wypełniających formularze, przepisujących listy, wpisujących liczby do ksiąg i przekładających papiery, dostarczyły Leninowi wszystkich informacji na temat działalności przedsiębiorcy.

Lenin w sposób właściwy odróżnia pracę przedsiębiorców od pracy "naukowo wykształconego personelu inżynierów, agronomów itd." Eksperci i technicy są przede wszystkim wykonawcami zarządzeń i poleceń. W kapitalizmie posłuszni są kapitalistom a w socjalizmie będą posłuszni "uzbrojonym robotnikom". Natomiast funkcja kapitalistów i enterprenerów jest inna a mianowicie jak stwierdza Lenin jest nią "kontrola produkcji i podziału pracy i towarów".

Zadania kapitalistów i enterprenerów polegają w istocie na określeniu celów i środków koniecznych do osiągnięcia tychże celów tak, aby w możliwie najlepszy sposób zaspokoić potrzeby konsumenta czyli innymi słowy na ustaleniu co, ile i jak należy produkować. Ale Lenin nie takie znaczenie przypisuje słowu "kontrola". Jako marksista nie zdawał on sobie sprawy z problemów, nie był świadom problemów związanych z działalnością produkcyjną jakie muszą się pojawić w każdym choćby dowolnie wyimaginowanym systemie społecznej organizacji. Problemy te to nieunikniony niedobór czynników produkcji, niepewność co do przyszłych warunków produkcji, które trzeba przewidzieć, konieczność wyboru spośród bardzo wielu metod technologicznych gwarantujących osiągnięcie założonych celów, a jednocześnie w możliwie małym stopniu utrudniających realizację innych celów, a więc metod, przy których koszt produkcji jest najniższy. W pismach Marxa i Engelsa nie można znaleźć nawet wzmianki dotyczącej tych kwestii. Wszystko czego nauczył się Lenin o biznesie z opowiastek swoich towarzyszy przesiadujących sporadycznie w biurach przedsiębiorstw, sprowadzało się do przekonania, że prowadzenie biznesu wymaga wiele pisaniny, księgowania i rachowania. Dlatego uważał on, że "ewidencja i kontrola" to rzecz najważniejsza spośród tego co konieczne dla "zorganizowania i prawidłowego funkcjonowania społeczeństwa". A "ewidencja i kontrola" stwierdzał dalej Lenin "zos-

taty niezwykle u p r o s z c z o n e przez kapitalizm, zostały sprowadzone do nadzwyczaj prostych, dla każdego umiejącego czytać i pisać człowieka dostępnych czynności nadzoru i rejestracji, znajomości czterech działań arytmetycznych i wydawania odpowiednich pokwitowań".

Oto w pełnej krasie filozofia przekładającego papierki urzędnika.

W. Lenin - "Państwo i rewolucja". Warszawa 1980, s. 137.

GIEŁDA :

[Re]prywatyzacja

Wołanie o reprywatyzację słychać ze wszystkich stron. Chciałem pierwotnie napisać: "jest na ustach wszystkich" ale byłoby to nieścisłe. Bowiem np. p. Wojciech Wasiutyński w swej książce "O program większości" /Periculum 1986/ pisze ni mniej ni więcej: "Nie słyszałem, by ktoś w Polsce proponował wyjście w postaci wystawienia polskiego przemysłu na sprzedaż. Gdyby to kiedykolwiek miało okazać się możliwe nie byłoby ani moralne ani ekonomiczne". Zgoda jeśli chodzi o trudności ekonomiczne /brak kapitałów itp./ ale doprawdy śmieszne jest stwierdzenie, że /re/prywatyzacja byłaby czynem niemoralnym z tego powodu, że przemysł państwowy "powstał wielkim wysiłkiem całego społeczeństwa". Jakież to moralne zasady łamie się proponując /re/prywatyzację? Z którym przykazaniem Bożym wchodzi w kolizję ta propozycja? Najbardziej niemoralne jest kazać ludziom pracować w nierentownych fabrykach. Erazm Piltz pisał w "Naszych stronnictwach skrajnych", że Narodowa Demokracja wzięła lud polski w moralną dzierżawę. Czyżby teraz chciała uczynić to samo z przemysłem?

Ale do rzeczy. Wielu z tych, którzy deklarują się jako zwolennicy /re/prywatyzacji narzeka, że władza na pewno nie zgodzi się na takie rozwiązanie, że ideologia, że opór biurokracji itp. Jest w tych narzekaniach sporo racji. Ale ponieważ na posunięcia władzy wielkiego wpływu nie mamy zacznijmy przeto od siebie. Sądzę, iż nadszedł czas, żeby zastanowić się nad programem /re/-prywatyzacji wydawnictw i czasopism podziemnych. Zamiast dyskutować o szansach /re/prywatyzacji zacznijmy ją robić. Jestem głęboko przekonany, że odejście od własności "społecznej", związkowej itp. miałoby wiele dobroczynnych skutków dla nieoficjalnego rynku wydawniczego. Przede wszystkim zmniejszyłaby się liczba wpadek. Człowiek jest ostrożniejszy, gdy wie, że ryzykuje utratę własnych pieniędzy. Działający na własny rachunek wydawcy musieliby stać się bardziej operatywni, ekspansywni, otwarci na pomysły i propozycje obiecujące dobry zysk. Z pewnością zniknęłyby z rynku rozmaite buble /a raczej "cegły"/ w rodzaju Archiwum Solidarności, których nikt nie czyta, ale które muszą być, "bo wiecie, rozumiecie, dla historii, potomności, no, i w ogóle". Być może przestałyby nas straszyć po nocach widma 150-tego, jubileuszowego wydania "Na probostwie w Wyszkowie" lub krytycznej edycji "Dzieł zebranych" Marka Nowakowskiego.

Ktoś powie, że wzrosłyby ceny książek i czasopism. Oczywiście. Należy położyć kres demoralizacji wywołanej "darmówkami" lub sztu-

cznie zaniżonymi cenami. Inteligencja jeśli chce czytać musi więcej zarabiać. Jeśli w wyniku /re/prywatyzacji wydawcom zacznie bardziej opłacać się wydawanie sonników egipskich niż Sołżenicyna to nie ma się co martwić. Widocznie książki Sołżenicyna mniej są potrzebne ludziom niż senniki.

Prawdą jest, że wiele czasopism nie będzie mogło się utrzymać na rynku bez dotacji. Ale to mała strata skoro i tak wszystko co trzeba można usłyszeć na "Wolnej Europie". A "Wolna Europa" to sprawa amerykańskiego podatnika, niech on się martwi jak /re/prywatyzować tę tubę zachodniego, lewackiego establishmentu i niestrudzoną orędowniczkę "demokratycznego socjalizmu".

/Re/prywatyzacja wydawnictw i czasopism umożliwiłaby przeniesienie konfrontacji z reżimem z płaszczyzny ideologiczno-politycznej na płaszczyznę ekonomiczną. Tam, gdzie istnieją prywatne wydawnictwa i czasopisma, walkę o wolność słowa zastąpić można walką o wolność produkcji i handlu. Wszak książki, czasopisma i idee są towarem. Być może takie hasła okażą się bardziej strawne dla reżimu. Ostatecznie pogodził się on już dawno z istnieniem gospodarki równoległej. Spróbujmy rozszerzyć ją o jeszcze jedną branżę.

Dodajmy, że jedynie prywatne wydawnictwa i czasopisma w pełni zasługują na miano "niezależnych". Nie podlegają bowiem bezpośredniej kontroli politycznej.

Ihaczerysio

Reforma Cenzury

O tym, że cenzura nie leży w interesie rządu nikogo nie potrzeba przekonywać. Cenzura rozjątrza autorów mających uczucie niepodległości od talentu nieoddzielne, sprowadza obieg kryjomy, podsyca chciwość publiczności na anegdoty, osobistości i zasady buntownicze, powoduje, że ważność zbyteczną przywiązuje się do książek zakazanych. Opinia sądzi bowiem, że jeśli rząd z taką starannością i pracą usuwa od nas te książki, to jakże głębokie byłoby na pewno wrażenie, któreby na nas sprawiły. Muszą one w sobie zawierać niepokonalne dowody i oczywistość, której oprzeć się niepodobna.

Druki zakazane są dlatego tak radykalne, że autor nie ma nic do stracenia i rozjątrzony jest niebezpieczeństwem na jakie się naraża. Autor piszący otwarcie roztropniejszy jest zawsze jak ten co pisze po kryjomu. Autor drukujący pisma swoje w swoim kraju powściągliwszy będzie jak ten co się ucieka do drukarni zagranicznych.

Jeśli jednak rząd uważa, że cenzury znieść nie można, to starać się trzeba bardziej znośną ją uczynić. Wiadomą jest rzeczą, że cenzor tylko wówczas jest spokojny jeśli potępił. Najbezpieczniej jest dla niego obcinać i wykreślać. Jeśli zostawi jedno miejsce, nieprzyjemnie obwiniony będzie o niedbalstwo, jeśli wykreśli 10 miejsc, które na to nie zasłużyły znajdą jego gorliwość zbyteczną, lecz władza jest zawsze skłonna do przebaczania zbytku takiej gorliwości. Należy więc mym zdaniem zamiast cenzorów odwoływalnych według woli władzy mianować ich dożywotnio. Właściwy stanie się im wówczas pewien stopień konsyderacji, ich postępowanie stanie się bardziej ostrożne i rozważne, zamiast z ministrem bardziej rachowaliby się z opinią a ich trybunał nabyłby pewnej godności i bezstronności a obawa utraty miejsca swego nie ścigałaby ich na każdym wierszu dzieła, o którym wyrzec mają. Korzystnym byłoby wówczas zwiększenie ich liczby tak by każdy autor mógł sobie wybierać cenzora.

Benjamin Sraly

❯WOLNOŚĆ - zamiast Prawa Jazdy❮

Wyrzieranie spod władzy komunistów coraz większych obszarów życia społecznego było i jest zadaniem opozycji politycznej w Polsce, było i jest zadaniem nas wszystkich. Mądry, zdecydowany i zorganizowany nacisk na władzę przyniósł już wiele efektów i przynieść ich może w przyszłości jeszcze więcej. W naszej walce z totalitaryzmem zapominamy jednak często o tym, że prowadzić ją musimy również na tych polach, które pozornie wydają się mniej ważne, mniej godne uwagi. Przeto w ramach walki z totalitaryzmem proponuję wysunąć wobec naszych władców żądanie, by pozwolili każdemu obywatelowi na swobodne używanie samochodu. Klasa trój-panów dzierżąc w ręku pełnię władzy uzurpuje sobie prawo do decydowania kto może a kto nie może jeździć samochodem. Totalitaryzm w swym dążeniu do zapewnienia sobie kontroli nad jednostką i jej działaniami nie omija żadnej dziedziny naszego życia. Tzw. prawo jazdy jest w rękach trój-panów instrumentem zniewolenia ludu. Dlatego żądam: żadnych państwowych egzaminów, żadnych komisji, żadnego obowiązku posiadania prawa jazdy.

Tym, którzy widzą w tzw. prawie jazdy środek do utrzymania bezpieczeństwa na drogach przypominam, że każdego dnia w wypadkach, kraksach, pod kołami samochodów giną ludzie. Giną między innymi dlatego, że są zbyt mało czujni, zbyt mało ostrożni wierząc głęboko, że kierowca nadjeżdżającego samochodu potrafi jeździć. Zdał przecież egzamin, posiada prawo jazdy. Tragedie jakie rozgrywają się na naszych szosach mają swe źródło w zabobonnej czci, jaką ludzie darzą świstek papieru wystawiony przez państwo. Kierowca czując w kieszeni prawo jazdy niewiele uwagi przywiązuje do swych umiejętności ale zachowuje się jak nieuk, który posiada d y p l o m i sądzi, że cały świat do niego należy. Odbierzcie kierowcom prawo jazdy a zobaczycie, że staną się ostrożniejsi. Oczywiście każdy, kto wsiądzie do samochodu będzie musiał być świadom, że poniesie wszystkie konsekwencje swojej nieuważnej jazdy. Dlatego zniesienie prawa jazdy musi pociągnąć za sobą likwidację ubezpieczenia kierowców od odpowiedzialności cywilnej. Wszyscy muszą wiedzieć, że lekkomyślność nie popłaca. Pamiętajmy, że cios w państwowy system ubezpieczeń to cios w samo serce totalitaryzmu.

Powtarzam raz jeszcze: odbierzmy Czerwonemu prawo do decydowania, kto może jeździć samochodem! Brońmy naszej wolności!

Libertarianin Wrocławski

O dalsze umacnianie, pogłębianie, rozszerzanie i kontynuowanie dialogu

Mój felieton chce być monologiem. Chce, ale czy jest? Może jest częścią dialogu? Ostatnimi czasy bowiem wszystko jest dialogiem nawet monolog.

Dialog jak wiadomo powinien być konstruktywny. Nasuwa się pytanie czy dialog może być niekonstruktywny albo wręcz destruktywny. Dialog, jeśli doń dochodzi, musi być konstruktywny. A jeśli jest konstruktywny to musi być owocny. Zaś owocny dialog to taki dialog, którego owocem jest chęć dalszego prowadzenia dialogu. Owocny dialog nie kończy się lecz jest kontynuowany. Jednak aby dialog mógł być kontynuowany potrzebny jest dialog jeszcze innego rodzaju: dialog o warunkach dialogu czyli meta-dialog. Może również odbywać się dialog o dialogu, o warunkach dialogu itd. Bardzo ważny jest dialog między władzą a społeczeństwem. Pojawia się jednak w tym miejscu ważna kwestia: czy całe społeczeń-

stwo bierze udział w dialogu. Czy do udziału w dialogu powinni zostać zaproszeni /dopuszczeni/ cinkciarze, alkoholicy, narkomani? A co z ludźmi na paszportach konsularnych? Do którego społeczeństwa należą, gdzie i kiedy wolno im brać udział w dialogu? Zauważmy, że ludzie ci mogą utrudniać ewentualnie ułatwiać dialog Wschód-Zachód albo dialog Północ-Południe.

Nie tylko społeczeństwo ale także naród może uczestniczyć w dialogu. Ciekawe czy społeczeństwo może prowadzić dialog z narodem np. społeczeństwo polskie z narodem francuskim albo naród niemiecki ze społeczeństwem włoskim? Godne rozważenia czy raczej godne dialogu byłoby opracowanie Karty Dialogującego i zagwarantowanie w konstytucjach prawa do dialogu.

Nie zapominajmy o dialogu rozbrojeniowym i o dialogu między mocarstwami. Wiele dialoguje się również o dialogu między państwem i/a Kościołem. Jeden z najbardziej znanych polskich filozofów dialogu pisał o dialogu całych społeczeństw, narodów i grup społecznych /patrz moje uwagi wyżej/ konstatując, że "dialog taki toczy się wszędzie. W fabryce, w szkole, w domu, w przedziale kolejowym, w kolejce po mięso". Właśnie dialog w kolejce po mięso zasługuje na szczególną uwagę. Toczy się on bowiem na wielu płaszczyznach. Jest wielopłaszczyznowy. Pierwsza płaszczyzna to dialog między uczestnikiem kolejki a sprzedawcą, druga to dialog między uczestnikami kolejki. Wreszcie trzecia płaszczyzna to dialog między dwiema przebiegającymi nieopodal kolejkami. Kto wie czy dialog międzykolejkowy nie jest ważniejszy od pozostałych.

Dialog jest nie tylko prawem każdego człowieka lecz również jego obowiązkiem i to obowiązkiem moralnym. Nikomu nie wolno uchylać się od dialogu. Przerwanie dialogu byłoby katastrofą. Dlatego należy go kontynuować nawet wtedy, gdy jest trudny. Niedawno zorganizowano w Budapeszcie dialog między marksistami i katolikami. Z pozoru mogłoby się wydawać, że język katolicyzmu i język marksizmu to dwa odrębne języki, co czyni dialog niemożliwym. Ale mimo wszystkie przeszkody dialog został nawiązany /nawiązał się/. Być może udało się to dzięki pomocy tłumacza znającego oba języki. Kto nim był? Czyżby ks. prof. J. Tischner, który pisał był ongiś w miesięczniku "Znak": "Dla wielu z nas dialog z marksizmem jest nie tylko dialogiem z tym, co dzieje się w świecie zewnętrznym, lecz także z tym, co żyje w nas samych". Mamy więc jeszcze jedną formę dialogu: dialog z samym sobą czyli dialog wewnętrzny.

Historia dialogu, jak i wiele innych rzeczy, bierze swój początek u Platona. Czy można jednak wyobrazić sobie katolików i marksistów prowadzących dialog na leżąco, przy dobrym jedzeniu i winie, przy dźwiękach cytry? Chyba nie. Dialog straciłby wówczas całą swoją powagę i doniosłość. Współczesny dialog potrzebuje pewnych warunków - są to właśnie warunki dialogu, a więc: obszerna sala konferencyjna zdolna pomieścić wszystkich uczestników dialogu, krzesła albo, co chyba lepsze, fotele, trybuna, na którą wstępują po kolei dialogujący delegaci wygłaszając referat czyli swoją partię dialogu. Potrzebny jest również przewodniczący dialogu, który czuwa nad przebiegiem dialogu i koordynuje go. Oczywiście nie każdy dialog musi tak wyglądać. Np. pp. Gorbaczow i Reagan prowadzili dialog przy kominku ale była to raczej pogawędka na tematy nieobowiązujące /choć ważne/ a więc lepszy wypoczynek na ranczo czy w daczy lub która żona lepiej gotuje /gdy służba ma wychodne/ itp. Podobny typ dialogu /"dialogi na cztery nogi"/ uprawiali niegdyś pp. Jonasz Kofta i Stefan Friedman. Kamieniem milowym w dziejach dialogu jest książka p. Adama Michnika "Kościół, lewica, dialog".

Dialog jest dziś wszechobecny i zdążamy, jak mniemam, do fazy /etapu/ dialogu totalnego.

Popularność dialogu zaprzątała mą uwagę już od dawna. Po długich rozmyślaniach udało mi się rozwiązać zagadkę. Otóż jak sądzę potrzeba dialogu, jego popularność i znaczenie są skutkiem upadku sztuki konwersacji. Kiedy ludzie nie potrafią prowadzić rozmowy, gdy pogrążają się w bezładnej gadaninie, kiedy przekrzykują się nawzajem na wiecach lub mówią jeden przez drugiego na zebraniach i innych tłumnych zgromadzeniach, wtedy przestaje się liczyć umiejętność towarzyskiej konwersacji , szybkiej wymiany replik i celnej pointy. Powaga dysputy ograniczona lekkością żartu i szczyptą ironii degeneruje się w miałkość stereotypowych narzekań i banalność nadętych frazesów, anegdotę wypiera płaski dowcip polityczny lub plotka, retoryka toastu zagłuszona zostaje bełkotem pijackich monologów /dialogów?/ a zamiast wplecionych w rozmowę oratorskich popisów otrzymujemy rozwlekłe i mętne sprawozdania z mało interesujących stanów duchowych. Wtedy właśnie nastaje czas dialogu /Dialogu/. Dlatego wzywam: Skończmy z dialogiem! Zacznijmy uczyć się sztuki konwersacji!

RED

ANTYKWARIAT KOLIBRA

Erazm Majewski
WIEK KAPITALIZMU

Wiek XIX słusznie nazwano wiekiem kapitalizmu, bo jeszcze nigdy, kapitał nie był tak twórczy.

W końcu XVIII stulecia siła maszyn w Anglii równała się sile roboczej 10-ciu milionów ludzi. Gdy porównamy z nią siłę machin czynnych w Anglii w r. 1870, zrozumiemy co za przewrót zaszedł w ciągu krótkich lat 80-ciu. W roku owym 1870 siła machin doszła do wydajności siły m i l i a r d a l u d z i .

Gdybyśmy nawet przyjęli, że przy tych machinach pracuje 20 milionów ludzi, a nad wytworzeniem ich pracowało choćby drugie 20 milionów, okaże się, że nad produkcją bogactwa Anglii pracowała w roku 1870 s a m a p r z y r o d a z s i ł ą 9 6 0 milionów ludzi.

Jeżeli odliczymy starców, dzieci i niezdatnych do pracy, to będziemy mogli powiedzieć, że maszyny angielskie pracowały na korzyść Anglii z siłą całej ludności ziemi. Zatem d u c h Anglików pracował d l a n i c h z siłą ludności c a ł e j z i e m i . Czy może nas dziwić szybki wzrost bogactwa Anglii, gdy w ciągu lat 80-ciu wiedza zaprzęgła tam s t o r a z y w i ę c e j n i ż d a w n i e j s i ł p r z y r o d y?

Sprowadziło to niesłychane przymnożenie bogactwa, a także przeobrażenie wszystkich stosunków ludzkich, tym bardziej, że za Anglią, do wyścigu poszło jeszcze kilka innych narodów. Tak nadzwyczajnego s k o k u w przyroście twórczości próżno by szukać w całej historii świata.

Jednak wcale nie w intencji podkreślenia dobroczynnej potęgi kapitału zamianowano wiek XIX wiekiem kapitalizmu. Uczyniono to w zamiarze wprost odwrotnym, dla napiętnowania współczesnego ustroju mianem wyjątkowo niesprawiedliwego. Kapitał ogłoszono za "prawnie usankcjonowaną formę rabunku", za wroga "pracy".

Ustrój kapitalistyczny ma oznaczać ustrój, w którym nieliczni posiadają owoc pracy b a r d z o w i e l u osobników, odebrany im na drodze niesprawiedliwego dzielenia się zyskami.

Dlaczego jednak dopiero wiek XIX miałby być napiętnowany mianem "kapitalistyczny", skoro nigdy nie było innego ustroju.

Oto dlatego, że kapitał n i g d y j e s z c z e nie przysparzał tak wiele bogactw, jak teraz.

Jeżeliby miało być prawdą, że kapitał jest owocem pracy, odebranym klasie przeważnie fizycznie pracującej, to z niedpartą logiką należałoby przyjąć za prawdę, że ta klasa poczęła nagle pracować bez porównania silniej, niżeli we wszystkich wiekach poprzednich i że stosunkowo mała garść "wyzyskiwaczów" zagarnia owoce jej pracy. Tymczasem wszędzie dzień roboczy ulega skróceniu, a mimo to zapłaca za pracę pozwala coraz lepiej żyć robotnikom, zwłaszcza w przemyśle fabrycznym.

P o c h o d z e n i e w i ę c t a k b ł y s k a w i c z n i e r o s n ą c y c h k a p i t a ł ó w jest zgoła inne. N i e p o d o b i e ń s t w e m j e s t , a b y t o m i a ł b y ć o w o c p r a c y n a j e m n i k ó w ś l e p l a t n y c h . Pomijając nieliczny kontyngens, cierpiących nędzę, przeważnie n i e p r a c u j ą c y , albo jako ciemny i niechętny pracujący źle, cała pozostała ilość j a k o t a k o pracujących cieszy się znaczną spożywczością i corocznie odkłada milionowe oszczędności, stając się na małą skalę klasą posiadającą.

Skądże się bierze to wszystko? Odpowiedź daje dopiero nasze n a s z e u j ę c i e k a p i t a ł u , j a k o n a c h i n y , k t ó r ą p o r u s z a j ą d w i e nierówne s i ł y : ludzkie fizyczne i siły przyrody, przyczem stosunek obu sił ustawicznie zmienia się na naszą korzyść. K a p i t a ł - t o i s t o t n i e z a o s z c z ę d z o n y o w o c p r a c y , ale w małej tylko odsetce pracy robotników i w o g ó l e l u d z k i e j - w największej zaś części samej przyrody, pasczonej w ruch przez potężnych duchem. Nie może to już być o w o c o d e b r a n y n i e p r a w o w i c i e r o b o t n i k o m /na drodze niesprawiedliwego podziału zysków/, tylko o w o c , z d o b y t y na samej przyrodzie. Robotnicy w niczym się do niego nie przyczynili, bo zużyli już tę część wartości, do której pojawienia przyczynili się istotnie.

Zagadka spoczywa w fakcie, że kapitał dzięki wysiłkom duchów najświetlejszych nigdy jeszcze nie był tak n o c n y , jak obecnie. Korzyści zatem, na które zawistnym okiem patrzy klasa robotnicza, płyną z bezpłatnej pracy przyrody, uruchomionej przez nich. Kapitalista czyny nie tylko nie potrzebuje czyhać na tanią pracę prostego robotnika, nie potrzebuje go "wyciskać jak cytrynę", ale przeciwnie jest w możności opłacać ją coraz lepiej, kosztem zbyt słabo opłacanych wyższych inteligentów, przedstawicieli wielkiej wiedzy i mocy duchowej. Tworzą oni , dla innych, jak "bogowie", dla samej przyjemności tworzenia.

"W i e k k a p i t a l i z m u " , t o p u s t y f r a z e s , bo innego ustroju nie było i być nie może. Ustrój kapitalistyczny - to tylko r o z w i n i ę t y u s t r ó j społeczny, w którym marnieje tylko to, co samo się wydziedziczą.

Nie z krzywdy ludzkiej wyrastają bogactwa kapitalistów, lecz z rozwiniętej władzy nad przyrodą. Ciemnota, bierność i niedołęstwo, umieją tylko skarżyć się i zazdrościć, gotowe zawsze b r a ć , a l e b e z o d p o w i e d n i e g o d a w a n i a . Pracy dzielnej i głów dzielnych ustrój kapitalistyczny jest zawsze sprzymierzeńcem.

Kapitał mocny, więc bardzo twórczy, jest źródłem nie tylko bogactwa tych, którzy nim rozporządzają, ale także obniżania się cen większości towarów i dóbr publicznych, więc nigdy ubóstwa rzesz słabotwórczych. M i ę d z y b o g a c e n i e m s i ę j e d n o s t e k m o c n o t w ó r c z y c h , a u b ó s t w e m s ł a b o t w ó r c z y c h n i e m a z w i ą z k u p r z y c z y n o w e g o . W zwykłym porządku rzeczy nie kapitał, ale c i e m n o t a mas i próżniactwo są źródłem ich ubóstwa.

N i e z g a d z a s i ę t e n w y n i k z o k l e p a n y m i f r a z e s a m i n i e s u m i e n n y c h agitatorów komunizmu, ukrytych wrogów i szkodników narodu, dlatego, że owi złośliwi, a nieodpowiedzialni pochlebcy tłumu nie chcą mu mówić prawdy w oczy.

Nie zamierzamy iść wzorem pochlebców. Nie myślimy twierdzić, jakoby szerokim warstwom pracującym nigdy nie działa się krzywda. Przeciwnie, jesteśmy przekonani, że świat pełen jest krzywdy, i możemy być raczej zaliczani do pesymistów, bo wierzymy, że k r z y w d a j e s t n i e ś m i e r t e l n ą . Ale też właśnie d l a t e g o , ż e z k r z y w d ą n a l e ż y w a l c z y ć , aby ją sprowadzać do minimum, mamy obowiązek dobrze rozróżniać krzywdzicieli od sprawiedliwych, abyśmy sami nie stali się krzywdzicielami i niewdzięcznikami.

xxx xxx xxx

Widzieliśmy, że s ł a b e kapitały nie mogą rościć pretensji do równie znacznych zysków, co mocne. Widzieliśmy, że duże nawet zyski n i e m u s z ą płynąć z krzywdy ludzkiej.

P r a w d ą j e s t , że bogactwo, niesprawiedliwie jest rozdzielone, ale ta niesprawiedliwość dotyka nie tych, którzy rozporządzają jedynie tylko niższymi władzami ludzkimi.

N i e z "p o t u" t y c h , k t ó r z y s i ę n a j g ł o ś n i e j u p o m i n a j ą o w ł a s n o ś ć w i e l k i c h , z a g a r n i ę t ą j a k o b y p r z e z t . zw. "k a p i t a l i s t ó w", a l e z w y s i ł k u i w i e d z y d u c h ó w n a j ś w i a t l e j s z y c h /kapitału duchowego/ powstaje bogactwo, a g d y b y t y c h d u c h ó w n i e s t a ł o , z n i k ł b y b a r d z o r y c h ł o kapitał, s u s z y t y w k r ó t c e p r z e z w s z y s t k i c h .

* Erazm Majewski /1858-1922/, z wykształcenia przyrodnik. Jego zainteresowania obejmowały biologię, antropologię, paleontologię, etnografię, socjologię, ekonomię. Przemysłowiec, członek PAU i Międzynarodowego Instytutu Socjologicznego w Paryżu, redaktor czasopisma etnograficznego "Wisła", wydawca rocznika archeologicznego "Światowid". Pod koniec życia objął katedrę archeologii na Uniwersytecie Warszawskim. Dziełem jego życia jest wydana w latach 1908-1923 "Nauka o cywilizacji": t. 1 - Prolegomena do socjologii i antropozofii /1908/; t. 2 - Teoria człowieka i cywilizacji /1911/; t. 3 - Kapitał /1914/; t. 4 - Narodziny i rozwój ducha na ziemi /1923 - wyd. pośmiertne/.

Drukowany powyżej fragment zaczerpnęliśmy z "Kapitału" będącego zapewne najbardziej oryginalną i aktualną do dziś częścią spuścizny duchowej Majewskiego.

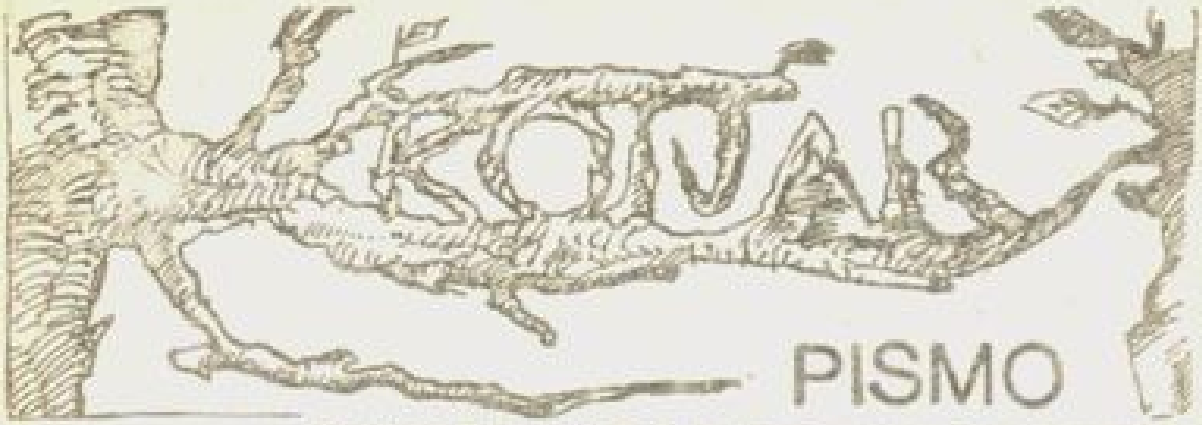

KONSERWATYWNO-NARODOWE

ARTHUR M.
ECKSTEIN

Tajemnica Artura Koestlera

Nie jest dobrze zbyt długo
przyglądać się wirującym
kołom zmienności, grozi nam
zawrót głowy.

Sir Francis BACON

Arthur KOESTLER: 'Arrow in the Blue: The First Volume of an Autobiography: 1905-31' /Strzała w błękicie/; Stein and Day; new York.

Arthur KOESTLER: 'The Invisible Writing: The Second Volume of an Autobiography: 1932-40' /Niewidzialne pismo/; Stein and Day; New York.

Arthur and Cynthia KOESTLER: 'Stranger on the Square':/Obcy na placu/; Random House; New York.

Traf chciał, że w Orwellowskim roku 1984 ukazało się wznowienie 2-tomowej autobiografii Artura Koestlera /pierwszy raz publikowanej trzy dekady temu/. Również w tym roku winien ukazać się zaskakujący tom 3-ci, częściowo autobiograficzny, przenoszący historię Koestlera w lata 50-te. Koestler i Orwell mieli ze sobą wiele wspólnego na płaszczyznie politycznej, znali się bardzo dobrze /w pewnym momencie zostali prawie spowinowaceni/ i lwia część niewielkiej ilości pism politycznych powstałych w latach 30-tych i 40-tych była ich dziełem. W tym sensie historia Koestlera jest również historią urazu doznanego przez całą generację Europejczyków, generację, do której należał także Orwell.

Jednakże Koestler, bardziej nawet niż Orwell, był dzieckiem czasów politycznego i społecznego nieładu, który zniszczył tak wiele ze starej europejskiej kultury. "Niewidzialne pismo", o niebo lepsze z dwu oryginalnie autobiograficznych tomów, kończy się w roku 1940 określeniem Koestlera jako"typowego przedstawiciela środkowoeuropejskiej wykształconej klasy średniej, urodzonego w pierwszych latach stulecia". Ale - jak powiedział Stephen Spender - jest gorzką prawdą, że Koestler n i e b y ł typowy; w przeciwieństwie do 3/4 swoich znajomych nie skończył w nazistowskim czy sowieckim obozie śmierci. W zamian za to, europejska trąba powietrzna wygnała go na względnie spokojne angielskie wybrzeże i właśnie w Anglii, w obcym mu języku, Koestler stawiał pierwsze kroki na stopniach panteonu europejskiej kultury.

To w trakcie wygnania z kontynentu, który tak obawiał się stracić raz na zawsze, stworzył swe pamiętne dzieła, przede wszystkim "Ciemność w południe"/1940/ - najznakomitszą po "1984" powieść antykomunistyczną. Podczas II wojny światowej Koestler kontynuował pisanie rewelacyjnych reportaży politycznych dotyczących nazistowskiej zagłady. Po wojnie nastąpiły potyczki z francuskimi marksistami /Paryż stał się następnym miejscem wygnania/. Można śmiało stwierdzić, że rozgłos jaki przyniosło Koestlerowi opublikowanie "Ciemności w południe" odegrał istotną rolę w osłabieniu pozycji komunistów francuskich podczas wyborów w 1946 roku.

Z okresu powojennego pochodzą płomienne artykuły popierające utworzenie państwa żydowskiego. Tym niemniej kulminacyjnym punktem głębokiego zaangażowania intelektualnego w politykę był jego aktywny udział w organizacji słynnego Kongresu Wolności Kultury w Berlinie w 1950 roku, który to kongres przyczynił się do precyzyjnego zdefiniowania istoty powojennego konfliktu między Ameryką a Związkiem Sowieckim. W tym samym okresie powstało drugie znaczące dzieło literackie, konkurujące z "Ciemnością...", a mianowicie jego wkład w pracę "Bóg, który poniósł klęskę". W swoich wczesnych zmaganiach z totalitaryzmem Koestler stwierdzi, że błękitny tatuaż obozu koncentracyjnego jest czymś większym od epitetu "zimny wojownik".

Później przyszło załamanie. Po latach 50-tych polityka zostaje zarzucona na rzecz nauki, a właściwie pseudonauki. Nawet stłumienie jego rodzinnych Węgier przez oddziały sowieckie w 1956 roku nie wywołuje żadnych emocji. W ten oto sposób Koestler stopniowo tracił pozycję centralnej postaci naszych czasów, postaci mocującej się z najistotniejszymi społecznymi, politycznymi i psychologicznymi problemami naszego wieku. Staje się natomiast autorem średnio interesujących, nawet rozrywkowych książek. Są to pozycje nieistotne i z pewnością nie będą czytane w następnym stuleciu. Cóż się wydarzyło? W trzech tomach, o których tutaj mówimy zawarta jest odpowiedź na to pytanie.

"Drzewo genealogiczne Koestlerów zaczyna się od mojego dziadka Leopolda i kończy na mnie". Artur Koestler pochodził z rodziny, której wzlot i upadek jest w pewnym sensie typowy dla tego, co się działo w Mittel-Europa w latach 1880-1930. W tym okresie powstała a potem uległa zniszczeniu żywotna, optymistyczna klasa średnia. Dziadek Koestlera ze strony ojca przybył do Austro-Węgier z Rosji w bardzo tajemniczych okolicznościach. Nazwisko Koestler /literowane na różne sposoby/ było, w gruncie rzeczy, przybrane. Ale Leopold dobrze się ożenił i, choć nigdy nie stał się naprawdę bogaty, miał wielkie ambicje w tym kierunku. Owe ambicje, póki co, zaspokoił ojciec Koestlera - Henrik - urodzony businessman i nauczyciel zafascynowany nowymi wynalazkami naukowymi /zainwestował w mechaniczny otwieracz do listów i radioaktywne mydło/. Henrik Koestler zdobył i utracił fortunę najpierw w Budapeszcie, potem w Wiedniu. Ożenił się w rodzinę żydowską, której majątek nie był dostatecznie duży aby

zaspokoić ambicje /matka Artura była jedną z tych wiedeńskich matron analizowanych przez Freuda; sama mówiła o nim "ein ekelhafter Kerl"- - niesmaczny facet/. Poszczególne przedsięwzięcia Henrika Koestlera były systematycznie torpedowane a to przez wybuch I wojny światowej, a to przez inflację wczesnych lat 20-tych, zjawiska niszczące nieodwracalnie środkowoeuropejską klasę średnią i naruszające podstawy jej światopoglądu.

Do tego czasu Artur Koestler był już w wyższej szkole technicznej. Miał zostać inżynierem - zajęcie bezpieczne i lukratywne. Ale upadek ojcowskiego businessu /i ogólnie rzecz biorąc zmaltretowanej gospodarki austriackiej/ spowodowało, iż Artur zaczął podejrzewać, że bezpieczeństwo i stabilizacja są ułudami. "Życie było chaosem, a zaczepienie się o jakiś rozsądny zawód w środku chaosu było szaleństwem". W ten oto sposób, mając tylko jeden semestr do otrzymania tytułu inżyniera, Koestler opuścił szkołę techniczną. W wieku lat 20-tu wkroczył w długi okres pokusy, propozycji "totalnych rozwiązań" otaczającego go chaosu.

Ponieważ był Żydem, pierwsza ideologia, która go zainteresowała to syjonizm. To dla niego typowe, że nagle "nawrócony" związał się z najbardziej bezkompromisową organizacją syjonistyczną, na czele której stał Vladimir Jebotinsky /duchowy przewodnik Menachem Begina/. Porzuciwszy technikę ochoczo udał się do Izraela aby zamieszkać w komunie w dolinie Jezreel, lecz mieszkańcy komuny uznali go za zbyt wielkiego indywidualistę.

Po okresie skrajnego ubóstwa w Hajfie i Tel Avivie, zdołał przypadkowo znaleźć pracę jako środkowowschodni korespondent dla trustu Ullsteina, do którego należała sieć gazet w Niemczech. Odnalazł swoje powołanie: po sukcesie jako dziennikarz i komentator polityczny nastąpił sukces popularnego pisarza naukowego. W wieku lat 26-ciu Koestler został szefem działu naukowego najbardziej prestiżowej gazety w Niemczech. Równocześnie zajmował się działem spraw zagranicznych w innym piśmie Ullsteina. Wstąpił do partii komunistycznej. Ta ostatnia decyzja miała swe źródło w gniewie i cierpieniu czasów depresji oraz w głębokiej przyjaźni z charyzmatycznym komunistycznym "mentorem".

To wszystko zostało opisane w "Strzale w błękicie", pierwszym tomie autobiografii. Są tam fragmenty fascynujące /np. opis życia kibutzu w połowie lat 20-tych czy podróż zeppelinem poza koło polarne/. Również warta przeczytania jest drobiazgowa analiza procesu "nawracania się" Koestlera na komunizm oraz świadectwo intelektualnego kalectwa charakterystycznego dla tego hermetycznego systemu myślowego. Zdaje się oczywistym, że dychotomia uważana przez Koestlera za właściwą swej psychice - poszukiwanie utopii /życie aktywne/ versus poszukiwanie Universum /życie kontemplacyjne/ - jest bardzo istotna dla zrozumienia postaci autora. Jednakże "Strzale..." brakuje tematu centralnego: mamy raczej serię niepowiązanych ze sobą przygód w konwencji pikarejskiej /niektóre z nich są bardzo długie/. Również bohaterowi brak jest myśli przewodniej. Koestler ciągle przedstawia czytelnikowi samego siebie, zawsze w sposób jednakowo intelektualny i abstrakcyjny; prawie zupełnie nie ma tutaj emocji. Wiadomo jednakże /i to nie od samego Koestlera/, że szczególnie związki z kobietami, były dla niego niezmiernie istotne; ale, jako że świadomie decyduje się pominąć kobiety w "Strzale..." /poza matką/, są one cieniami, jego stosunki z nimi pojawiają się i znikają niewytłumaczalnie, a więc i on również pozostaje cieniem. Koestler może zainteresować czytelników tylko wtedy, gdy w grę wchodzą emocje. Uderzającym tego przykładem jest gorąca obrona swego "nawrócenia" na komunizm, którego źródło upatruje Koestler w miłości dla ludzi, pragnieniu sprawiedliwości - - uczuciach, których autor odmawia krytykom komunizmu we wczesnych latach 30-tych /choć z pewnością nie w latach 50-tych/. Jednakże chwile takiej emocjonalnej szczerości są niestety zbyt rzadkie w "Strzale...".

Inaczej wygląda sprawa z drugim tomem autobiografii. "Niewidzialne pismo" ma skonkretyzowany temat i posiada myśl przewodnią, wręcz naładowane jest emocjami. Koestlerowska walka o dochowanie wierności samemu sobie w warunkach nieustającej presji Partii, stawiającej sobie za cel intelektualną uniformizację umysłów jest tematem. Myśl przewodnią stanowią chmury ciągnące nad Europę; wizja ostatecznej klęski świata. Znajdziemy tutaj równie wiele przygód jak w tomie poprzednim, ale konwencja pikarejska została już zarzucona, wydarzenia są ściśle ze sobą powiązane.

Wprowadzenie Koestlera do Partii odbyło się w tajemnicy i doprowadziło, w sposób w pełni naturalny, do szpiegowania pracodawców - - Ullsteinów. W końcu Koestlera zdemaskowano i wyrzucono choć Ullsteinowie, będący liberałami, nigdy nie wyjawili przyczyn jego usunięcia. W rezultacie Koestler był wolny, mógł robić to, na co miał wielką ochotę - odbyć pielgrzymkę polityczną do Związku Sowieckiego. Kominternu wyznaczył zadanie: napisać pochwalny raport dotyczący kraju w trakcie realizacji planu 5-letniego. A wszystko to pod płaszczykiem podróżującego "burżuazyjnego ale liberalnego i pełnego zrozumienia dziennikarza". Podczas jego podróży, w Niemczech Hitler doszedł do władzy, a Koestler z rozpaczy stał się prawdziwym partyjnym profesjonalistą i następnie osiedlił się w Paryżu. Tu pracował w propagandzie dla powszechnie znanego, charyzmatycznego Willi Muenzenberga, twórcy idei komunistycznej "grupy frontowej".

W tym okresie narastające zwątpienie w Partię tłumione było głęboką potrzebą walki przeciw Hitlerowi oraz kompleksem niższości i poczuciem winy z powodu "nierasowego", mieszczańskiego pochodzenia. Ale im bliżej poznawał pracę partyjną, tym silniejsze jego wyobcowanie. Stawało się to nierozwiązywalnym dylematem, tym jaskrawszym, im więcej jego przyjaciół, oddanych komunistów, znikało w GUłagach. W jego rozwiązaniu nie pomagał również fakt, że talent literacki Koestlera był przez Partię traktowany nieufnie z powodu "burżuazyjnego indywidualizmu".

Ostateczne odejście od Partii miało miejsce w 1938 roku, podczas wojny domowej w Hiszpanii. Kroplą, która przelała czarę była partyjna polityka unieszkodliwiania hiszpańskich anarchistów. Koestler dobrze rozumiał, że anarchiści byli siłą naruszającą dyscyplinę w walce przeciw frankistowskim "faszystom", ale jednocześnie jako frontowy korespondent widział na własne oczy bezkompromisowy idealizm i populizm anarchistów. Partia, w swoich zapędach do całkowitego kontrolowania lewicy hiszpańskiej i rządu lojalistów, domagała się przedstawiania anarchistów jako świadomych kolaborantów Franco. Mimo wielu dotychczasowych kłamstw dla Partii był to moment, w którym Koestler powiedział "nie". Jego gorycz w tym okresie przypomina gorycz Orwella, który również nigdy nie wybaczył komunistom ich podstępów wobec hiszpańskiej lewicy. Podobnie jak Koestler, Orwell był w Hiszpanii i znał prawdę. Również pobyt Koestlera w więzieniu i bezpośredni kontakt ze śmiercią uczyniły go bardziej wrażliwym na człowieka i wartości humanistyczne oraz zwiększyły jego nieufność wobec partyjnej polityki "koniecznego morderstwa". Ostateczne zerwanie z Partią było dla Koestlera dość łatwe ponieważ odnalazł inne Nowe Jeruzalem: po hiszpańskich przygodach odkrył, że Londyn ze swoimi burżuazyjnymi wartościami i ideałami prawdy obiektywnej oraz praworządnością, odpowiadał mu o wiele bardziej niż Moskwa.

Swoje wahanie niemal przypłacił życiem. Wybuch II wojny światowej zastał go w Paryżu wydającego czasopismo antynazistowsko-antystalinowskie. Paradoksalnie, t y m r a z e m rząd francuski uwięził go pod zarzutem działalności wywrotowej; kiedy wypuszczono go z obozu dla internowanych miał akurat czas aby ukończyć "Ciemność w południe" zanim naziści zniszczyli wszystko w majowej katastrofie 1940 roku. Z wielkim

trudem zdołał Koestler wyrwać się z ich rąk; wielu jego przyjaciół nie miało tego szczęścia. Dotarł do Anglii via Legia Cudzoziemska /pod przybranym nazwiskiem/ drogą Casablanca - Lisbona /dokładnie tak, jak w słynnym filmie "Casablanca" z Humphreyem Bogartem i Ingrid Bergman; Koestler mógł być jednym z rozpaczających znaturalizowanych cudzoziemców w Café Americain/. W ostatnich scenach "Niewidzialnego pisma" widzimy autora przeglądającego korektę angielskiego wydania "Ciemności..." /niemiecki oryginał został zagubiony gdy naziści zajęli Paryż i nigdy go nie odnaleziono/. Koestler robił korektę w więzieniu w Pentonville, gdzie przebywał za przybycie na wyspy bez wizy. Szczęśliwie sprawdziła się jego ufność w ślepy los - udzielono mu prawa pobytu.

"Niewidzialne pismo" jest książką wzruszającą ze względu na swoje silne zaangażowanie emocjonalne, zwartość, której brak "Strzale..." oraz na atmosferę nadciągającej burzy, która okazała się kataklizmem na skalę światową. Fragmenty tej książki należą do najlepszych kart jakie Koestler napisał. Opowieść o wydarzeniu z 1933 roku, gdy wydał swoją rosyjską dziewczynę w ręce NKWD na podstawie niejasnego podejrzenia o nielojalność wobec Państwa /i wobec Zasady/ jest bardziej przejmująca niż historie Sołżenicyna. Koestlerowskie rozważania nad emocjonalnymi aspektami bycia komunistą powinien przeczytać każdy, kto próbuje zrozumieć lata 30-te i konsekwencje jakie może mieć źle zorientowany idealizm. Wreszcie opowieść o ostatecznym powrocie do ludzkiego, niezarkusistowskiego /i nie mistycznego/ światopoglądu we frankistowskim więzieniu. Sprawozdanie z rozpaczliwych prób znalezienia schronienia przed nazistami po upadku Francji, jego przerażająca ucieczka z kontynentu skazanego na ten czy inny system totalitarny - to wszystko w sposób nawet zbyt oczywisty tłumaczy rozpacz humanistów w tych mrocznych czasach. Jednakże "niewidzialne pismo"nie jest pozbawione wad; poza kilkoma wyjątkami, stosunki Koestlera z kobietami /choć ewidentnie istotne/ są po raz wtóry przedstawiony skąpo i w sposób abstrakcyjny co powoduje, że "codzienna" osobowość tego człowieka pozostaje tajemnicą. Jako rodzaj rekompensaty - książka emanuje powagą moralną i autentycznymi p o l i t y c z n y m i emocjami. Z trzech omawianych części, "Niewidzialne pismo" stanowczo należy przeczytać.

Powaga moralna i emocje natury politycznej były motywami, które pozwalały w latach 40-tych i na początku lat 50-tych, umiejscawiać Artura Koestlera w samym centrum życia intelektualnego Europy Zachodniej. Powróćmy jednak do naszego pytania: dlaczego Koestler odwrócił się od polityki i walki z totalitaryzmem i dlaczego spędził ostatnie 30 lat swego życia jako skromny popularyzator przeróżnych naukowych i pseudonaukowych teorii?

Według jego słów przyczynę stanowiło zmęczenie. W przedmowie do "Tropu dinozaura" /The Trail of the Dinosaur, 1955/ czytamy: "... powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia na ten temat /polityki/ Teraz pokutuje się za popełnione błędy, gorzka pasja wypaliła się już". Ale ten wyczerpany człowiek napisał dalsze 20 książek w czasach, które z pewnością zasługiwały na komentarz polityczny i moralny. Wyjaśnienia Koestlera można uzupełnić fragmentem pochodzącym z 3-ciego tomu "Obcy na placu". Co ciekawe, interesujące nas fragmenty nie pochodzą od Koestlera. Część autobiograficzna zamieszczona jest na pierwszych stronach "Obcego...". Jej wartość literacka jest niezaprzeczalna ale jak zwykle obraz zaciemnia się tam, gdzie jest mowa o osobowości Koestlera "na codzień". Prawdziwą wartość historyczną przedstawia natomiast prymitywnie napisany ale wierny opis osobowości pisarza dodany dla równowagi książki, a napisany przez jego wieloletnią kochankę, w końcu żonę, Cynthię Jefferies, która popełniła razem z nim samobójstwo w roku 1983.

George Orwell zauważył kiedyś, iż kluczem do osobowości Koestlera jest jego hedonizm. Dla autora "Ciemności..." problemem w aspekcie politycznym i osobistym był fakt, iż szczęście stanowiło dla niego cel życia. Stwierdzenie typowe dla Orwella, potwierdzone jednak przez

Cynthię Jefferies w "Obcym...". To, o czym Koestler w poprzednich tomach mówił niejasno lub abstrakcyjnie jest teraz ukazane we wstrząsająco precyzyjny sposób: Koestler jako wiecznie pijany kobieciarz, człowiek pragnący zawsze znajdować się w centrum zainteresowania.

Opis Cynthii, dotyczący głównie okresu pracy nad "Strzałą w błękicie" i "Niewidzialnym piszem", daje świadectwo jej bezgranicznego oddania /nawet służalczości/ mężowi, a w końcu totalnego poświęcenia mu własnej osobowości. W zamian otrzymywała bardzo jej potrzebny zastrzyk Koestlerowskiej energii i świadomości celu. Ich związek nie był więc jednostronny. Jednak kto próbuje zrozumieć Koestlera musi zadać sobie niepokojące pytanie: dlaczego ten wielki wróg totalitaryzmu wybrał w końcu życie z kimś, kogo gruntownie zdominował i kto poświęcił dla niego i życie i śmierć.

Obraz Koestlera wyłaniający się z "Obcego na placu" jest fascynujący lecz nie budujący. Koestler w dwóch poprzednich tomach naszkicował swój wizerunek w sposób podobny lecz w barwach nie tak żywych, jak dokonała tego Cynthia Jefferies. Wydaje się prawdopodobnym, że pochłonięty sobą człowiek, zwabiony przez politykę, potraktował ją z taką samą żarliwością jak swój hedonizm. Jefferies obrazuje dokładnie życie z Koestlerem, człowiekiem w szponach monomanii /w tym konkretnym przypadku chodzi o kampanię na rzecz zniesienia kary śmierci przez powieszenie w Wielkiej Brytanii/. Jest równie prawdopodobne, że aktywność polityczna u tak skoncentrowanego na sobie człowieka wyzwalało kataklizmu lub obsesyjnej idei.

W rzeczywistości po roku 1955 Koestler nie uległ takiemu kataklizmowi ani też nie był niewolnikiem żadnej wielkiej idei politycznej. Pozbawiony bodźca powrócił do tego, co wydało mu się pierwszą i bardziej naturalną miłością - do pisania esejów popularyzujących naukę /pamiętajmy o wczesnej posadzie kierownika działu naukowego popularnego dziennika niemieckiego/. Było naturalnym, że w miarę ucichania totalitarnej zawieruchy spadało jego nią zainteresowanie i musiał zwrócić się ku pozycji sprzed 1930 roku, z miana twórcy ku niespokojnemu i pozbawionemu korzeni biernemu odbiorcy idei.

Tak więc koło się zamyka. Artur Koestler, ten wielki Artur Koestler, był dzieckiem społecznego i politycznego nieładu ogarniającego Europę na początku wieku i likwidującego radosną, żywotną klasę średnią, do której należał. Kryzys popchnął go do polityki i publicystyki politycznej; jako wrażliwy młody człowiek sprzeciwił się rozwiązaniu totalitarnemu. Na lata 1930-1950 przypadło największe nasilenie kryzysu i ten właśnie okres nadał życiu i twórczości Koestlera ostrą moralną i polityczną perspektywę. Jednak w połowie lat 50-tych sytuacja w Europie ustabilizowała się; rzeczywistość przybrała kształt, w którym kontynent /przynajmniej na zachód od Łaby/ uwolnił się od niebezpieczeństwa tyranii. Kiedy kryzys minął, Koestler już wolny dał upust swoim naturalnym inklinacjom, które /jak się okazuje/ nie miały charakteru politycznego.

To właśnie stanowi klucz do tajemnicy Artura Koestlera. Sukces polityki Stanów Zjednoczonych, polityki ratującej Europę najpierw przed nazizmem potem komunizmem był źródłem klęski Koestlera, niekonsekwentnej powagi moralnej jego twórczości. Kiedy zelżała presja totalitarna Koestler mógł powrócić do życia, które zawsze bardziej mu odpowiadało. "Obcy na placu" kończy się ciepłym latem 1950 roku elegijnym widokiem Artura i Cynthii, którzy beztrosko biorą udział w wyprawie kajakowej w dół Dordogne, płynącej wśród winnic południowej Francji. Jest to scena świetnie mieszcząca się w obrazie Europy Zachodniej, od 1950 roku pozostającej pod opieką Paktu Północnoatlantyckiego.

Arthur M. SCHESTRIN

/CHRONICLES OF CULTURE, November 1985; Tłum. P.Pinkas/

M.CZELNY

O kłopotach z pisaniem antyutopii...

...a może raczej o jeszcze większych kłopotach z pisaniem o niej. Uprzedzając moje dalsze refleksje postawię hipotezę, że nie powstało jeszcze dzieło prawdziwej, wielkiej literatury, które ostrzegałoby nas w swym przesłaniu, w sposób spójny i logicznie niepodważalny, przed konsekwencjami umysłowego zniewolenia niesionego przez ideologie.

Antyutopijna mikropowieść Ayn Rand "Hymn" wywodzi się z tego samego niepokoju rozwojem naszej kultury, co pokrewne jej teoretycznie dzieła Orwella, Huxleya, Zinowiewa i Vonneguta, lecz porusza, mimo iż powstała bez mała pół wieku temu, kwestię, moim zdaniem, najistotniejszą. Chodzi o zagrożenie jakie niesie każda ideologia dla naszego języka, dla owego medium, bez którego człowiek przestaje być człowiekiem. Autorka dotyka tego problemu jakby mimochodem, od niechcenia, a jednak decyduje on o sile i słabości tej książki.

Nie będę rozwodził się długo nad tym, przeciwko jakim konkretnym ideologiom dziełko Rand jest wymierzone. W przeciwieństwie do Orwella czy Zinowiewa ekspliknacja światopoglądu pisarki nie jest trudna. Protestuje ona przeciwko wszelkiej myśli kolektywistycznej poświęcającej jednostkę, jej swobodną myśl i uczucia, na rzecz "interesu publicznego", "powszechnego dobra". Odrzuca wszelkie myślenie kategoriami zbiorowymi, które już tylekroć w naszych dziejach doprowadzało do zwyrodnienia, upadku kultury i cofnięcia się do cywilizacyjnego barbarzyństwa. Antyutopia Rand przybiera postać kolektywistycznej teokracji łączącej w sobie cechy średniowiecznego Bizancjum, Trzeciej Rzeszy i "wojennego komunizmu" czasów Lenina i Stalina. Autorka bardzo trafnie ujęła zbieżność jaka łączy faszystowski kult zbiorowości i komunistyczną utopię z judaistyczną ideą biliazmu, "Tysiącletniego Królestwa" obiecanego w licznych objawieniach. Nie jest przecież przypadkiem, że Robespierrowski pomysł świeckiego kultu znalazł swą kontynuację w "Bogostroitielstwie" Gorkiego i Łunaczarskiego - zapełonych komunistów poszukujących środków ekspresji dla swej nowej wiary. Zwracali na to uwagę liczni eseiści, ażeby wspomnieć choćby Bierdiajewa, Berlina czy Kołakowskiego, lecz artystyczny wyraz nadali tej idei chyba tylko, choć w diametralnie odmienny sposób, Dostojewski i Tołstoj. Przeciwstawienie anarchistycznej, pacyfistycznej utopii zakładającej istnienie "Boga w naszym wnętrzu" i metafizycznego zacietrzewienia "szigalewszczyzny" wypada w oczach Rand na korzyść Dostojewskiego, lecz udało się jej uniknąć jednoznaczności, gdyż działa do dyspozycji nie tylko niejasne domysły wynikające z filozoficznych dzieł Hegla i Fichtego, ale też doświadczenia historyczne pouczające, że każdy utylitaryzm, czy to kolektywny, czy indywidualny, używając ludzkiej osoby jako środka, a nie celu, prowadzi do zagrożenia człowieczeństwa jako takiego.

Owo odwołanie się do Kantowskiego imperatywu zbliża nas właśnie do najsilniejszego i najsłabszego jednocześnie punktu filozofii "Hymnu". Do języka. To zawarte w języku, zakodowane w umysłach bohaterów myślenie kategoriami "my" jest najdotkliwszym zniewoleniem. Istota języka jest niewidzialna i przezroczysta, a ponieważ umysł nie istnieje bez języka, więc także niewidzialna. W żadnej innej antyutopii nie ukazano tak jasno tytanicznego wysiłku, jaki podjąć musi bohater aby

wyzwolić się z narzuconego mu schematu pojęć. Orwellowska "nowomowa" nie jest samowystarczalna, wspiera ją brutalna, fizyczna przemoc. Huxley ułatwia wyobrażenie sobie wolności wprowadzeniem postaci "outsidera", który poprzez zderzenie z mieszkańcami "Nowego wspaniałego świata" ukazuje nielicznym z nich prawdę ich egzystencji. "Dziki" i Winston Smith muszą przegrać, gdyż otaczające ich totalitarne systemy są nieubłaganie logiczne i konsekwentne. Nie widać dróg wyzwolenia dla podległych im społeczeństw. Można sobie wyobrazić co najwyżej bunt pojedynczych jednostek wrzuconych z zewnątrz lub porwanych przemożnym uczuciem. Świadomość i względna wolność niektórych Alf i funkcjonariuszy Policji Myśli jest wliczona w system i gwarantuje jego stabilność. Członkowie Rad z "Hymnu" nie są ani cyniczni, ani świadomi swych funkcji, dlatego ucieczka Równości 7-2521 może się stać początkiem nowego świata, gdyż, zgodnie z buddyjską maksymą, jeden zędrzec potrafi oświecić innych niczym lampa.

Rand jest optymistką, lecz ten optymizm jest z konieczności wewnętrznie pęknięty. Skoro sugeruje on, że indywidualizm, rozum i prawda wpisane są w naturę człowieka, to jak to się dzieje, że natura ta nie panuje powszechnie i niepodzielnie? Dlaczego tylko nieliczni mieszkańcy Domu Zamiataczy Ulic przejawiają zrzadka szczątki uczuć i myśli? Jak to się stało, że owo najświętsze "Ja" nieujawnione drzemało przez stulecia?

Rand perswaduje nam pewną wizję ludzkiej natury, zgodnie z którą indywidualizm, instynkt posiadania i potrzeba odróżnienia się od innych biorą się z najtajniejszych poruszeń ludzkiej duszy. Nie wiemy w zasadzie nic o tej "prawdziwej" naszej naturze, dlatego też przeciwstawianie jej światu zjawisk nazwał Kołakowski rdzeniem "myślenia utopijnego" obecnego od Oświecenia poprzez Hegla w wielu politycznych ideologiach. Konstruując swą krytyczną antyutopię popadła więc autorka bezrefleksyjnie w kolejny utopijny schemat. Prometeusz znów przyniesie ludziom ogień, który już tym razem zostanie przyjęty jako dobrodziejstwo i zwiastun dobra dostępnego każdemu z nas. Ludzkość przebudzi się z letargu i poniesie dalej owo nowe objawienie wolności.

Utopijne rozdwojenie obecne jest w "Hymnie" od początku. Istnienie "Słowa Niewymawialnego" bohater przeczuwa od dzieciństwa, a totalitarny język pełen jest dwuznaczności. Przedziwna plątanina liczby pojedynczej i mnogiej /"zbrodniarz byli młodzi", "...byliśmy dobrym Zamiataczem Ulic"/ dowodzi, że jednak pojęcie ludzkiej jednostki jest w tym języku konstruowalne. Istnieje strach i zagrożenie, a więc elementarne emocje odnoszące się do jednostkowej egzystencji. Niektóre zdania wypowiadane przez bohaterów rażą nie tyle formą gramatyczną, boć ta jest przecież kwestią konwencji, ale niespójnością sensu zakładając jednocześnie przeciwstawne odniesienia. Autorka postawiła problem, lecz nie uporała się z nim do końca /jakkolwiek część trudności zdaje się wynikać ze specyfiki przekładu na język polski/. Wynika to chyba z tego, że uwikłani w nasz język nie potrafimy sobie nawet wyobrazić takiego systemu porozumiewania się, który odrzucałby wszystkie nasze kategorie myślowe. Każde pomyślane lub wypowiedziane zdanie lokuje nas w europejskiej, indywidualistycznej kulturze: od śródziemnomorskich korzeni, poprzez chrześcijański personalizm, protestancką rewoltę i spuściznę Oświecenia. Granice języka są granicami naszego świata.

Pisarce udaje się częściowo uniknąć tych problemów dzięki rezygnacji z odautorskich komentarzy i przyjęciu konwencji pamiętnika. Liczne niespójności języka, którym posługuje się bohater przypisać można jego emocjonalnej sytuacji, rozdwojeniu osobowości, któremu nieuchronnie podlega odrzucając całość kultury, z której się wywodzi. Nie sposób jednak oprzeć się wrażeniu, że coś tkwi poza tym. Gdy nowonarodzony Prometeusz odkrywa nowe wartości wydaje się nam, że nie są one dla niego taką absolutną nowością, że jedynie tkwiły one dotąd ukryte - - może zepchnięte do najtajniejszych zakamarków podświadomości, a może zakodowane już w samym języku. W tym artystycznym zabiegu tkwi, jak

sądzę, zasadnicza intencja autorki - pokazanie nam, że deprawacja języka już się rozpoczęła, że bakcyl totalitarnego koszmaru tkwi już w nas i ujawnia się w każdym naszym słowie. Czyż nie odnajdujemy w słowach Równości 7-2521 licznych stereotypów obecnych również w naszych ustach? Jesteśmy zarażeni.

Chcąc nasycić emocjonalnie swe dziełko, uwrażliwić nas na pułapki czające się w naszych wnętrzach autorka popada zgodnie z tytułem w rodzaj ekstatycznego patosu. Dla każdego krytycznego czytelnika tonacja ta brzmi sztucznie i pretensjonalnie. Sentymentalizm pierwszych spotkań Prometeusza i Złocistej, publicznej egzekucji buntownika czy chwil odkrywania nowych wartości można przypisać młodzieńczej egzaltacji narratora. Gdy ma się 20 lat można sobie na nią pozwolić. Ale przecież aby uczynić z wewnętrznego monologu dzieło sztuki trzeba go także podporządkować pewnym wymogom formalnym - nauczyli nas tego Proust, Joyce i Broch. Czyżby każda zaangażowana literatura skazana była na ocieranie się o grafomanię? Nawet takiemu mistrzowi prostoty stylu jak Orwell nie udało się w "Roku 1984" zachować dystansu, nawet taki ironista jak Vonnegut roni w "Pianoli" tu i ówdzie łezkę nad losem bohatera. Czyżbyśmy zmuszeni byli te dzieła rozpatrywać na tym samym poziomie, co ewidentnie złą literaturę Rodziewiczówny, Sienkiewicza lub Galsworthy'ego?

Dochodzimy oto do sedna problemu antyutopii. Dzieła Rand, Huxleya, Orwella i Zinowiewa nie poddają się tym samym literaturoznawczym kryteriom oceny, co pisarstwo Manna, Dessego lub Frisha. Oddzielenie formy i treści, warstwy znaczącej i symbolicznej jest bez sensu. Podejmując takie zabiegi dojdziemy do punktu, w którym zrezygnować musimy z pojęcia literatury lub zrehabilitować tylekroć skompromitowane podziały na literaturę "słuszną" i "niesłuszną". Tymczasem istnieje tylko jeden podział: literatura dobra i zła, a interesujące mnie antyutopie umieściłbym w kulturze na nieco innym poziomie. Chodzi o to, że istnieją dzieła, które balansując na pograniczu sztuki i kultury masowej funkcjonują na poziomie przed-literackim w ramach "masowej wyobraźni" lub też, będąc niewątpliwie wielką literaturą, wykraczają jednak poza nią i funkcjonują w podobny sposób co i te pierwsze. Spotykają się w ten sposób prastare podania i legendy, paraliterackie traktaty filozoficzne i polityczne z dziełami Kafki, Dostojewskiego i Swifta.

"Hymn", podobnie jak i inne antyutopie, nie jest kawałkiem "wielkiej" literatury, nie jest też odkrywczym traktatem politycznym. Jest światopoglądowym przekazem chcącym "nastroić" nas emocjonalnie wobec świata. Jest systemem powiązanych wewnętrznie wartości - współczesnym mitem.

Dzieje Winstona Smitha, Dzikiego, Równości 7-2521 przypominają peregrynacje Odyseusza, Don Kichota, Zaratustry i Józefa K. Podróżują oni po piekłach i czyśćcach naszej rzeczywistości w poszukiwaniu piękna, miłości, prawdy - wartości najczystszych. Funkcjonujące na przedliterackim poziomie utopia i antyutopia perswadują nam pewną wiedzę o świecie teraźniejszym i przyszłym, a nauki płynącej z mitów nie wolno nam lekceważyć.

Nikt tak wyraźnie jak Ayn Rand nie umieścił swych bohaterów w tej mitologicznej perspektywie. Odwołanie się do tkwiących w nas archetypów związanych z mitem o Prometeuszu, o Gilgameszu, Noem, czy wreszcie o Adamie i Ewie pozwala autorce łatwiej dotrzeć do najgłębszych pokładów naszej wrażliwości, lecz - ku naszemu rozczarowaniu - nie dostarcza nam ona żadnej nowej wiedzy. Nie łamie popularnych stereotypów. Tak jak i w swych pierwowzorach Randowski Prometeusz poniesie ludziom nadzieję, Adam-Noe zapoczątkuje nowy szczep rodu ludzkiego. A przecież jest w tym optymizmie jakiś fałsz. Najstarsza wersja mitu o Prometeuszu nie kończy się wyzwoleniem herosa z okowów; poucza nas, że praca, wiedza i postęp nie przynoszą człowiekowi szczęścia. Nowatorstwo i brak

szacunku dla sacrum są przekleństwem jego egzystencji. Dopiero później starożytni zwolennicy happy-endów dokomponowali przynoszącego wolność Herakleusa i zmienili zasadniczo wymowę przesłania. Taką tchnącą optymizmem postać Prometeusza darzył wielką sympatią Karol Marks.

Wystarczy jednak rozejrzeć się wokół by zastanowić się, czy dobrze się stało, że ludzkość otrzymała ogień i nadzieję, że potomstwo Kaina i Nowego przetrwało. Może suma ludzkiej niedoli i cierpienia przeważa już szalę Wielkiej Wagi?

Dlatego bliższy jest mi ironiczny pesymizm Zinowiewa i Orwella. Nie zmienia to jednak faktu, że książeczkę Ayn Rand trzeba koniecznie przeczytać. Nadzieja jest nam przecież także potrzebna.

M. Czolny

Żaden współczesny pisarz nie był tak bardzo zauroczony myślą liberalną jak Ayn Rand. Od swego monumentalnego dzieła ATLAS SHRUGGED do poetyckiego ANTHEM, Rand bezkompromisowo broni indywidualizmu, kapitalizmu i intelektu. Powstała właśnie biografia tej fascynującej kobiety.

Autorka Barbara Branden, długoletnia uczennica Ayn Rand, zebrała szczegóły nieprawdopodobnej historii swej bliskiej od jej ucieczki spod skrzydeł komunizmu do literackich sukcesów. Free Forum Books ma przyjemność przedstawić "przedpremierową" ofertę

The Passion of Ayn Rand

by

Barbara Branden

Oprawna w płótno, 400 stron, 32 unikalne fotografie, za jedyne $ 19.95 Przyjmujemy karty kredytowe VISA i MasterCard. Zamówienia telefoniczne /415/ 864-0952. Od poniedziałku do soboty w godzinach 10^{00} - 19^{00}, w niedziele od 11^{00} do 17^{00}.

FREE FORUM BOOKS
1800 Market St.
San Francisco, CA 94102

GARY
HART

Nie tylko ekonomia

Między sprawami, których unikają rozsądni politycy znajduje się proponowanie idei niewypróbowanych, niekompletnych i prawie na pewno kontrowersyjnych. Jednakże czasy w jakich żyjemy wymagają nowych sposobów myślenia. Nie możemy rozwinąć naszej polityki społecznej za pomocą niekończących się rozważań nad przebrzmiałymi zasługami Herberta Hoovera i Franklina D. Roosvelta. Potrzebujemy czegoś nowego, a nowe rzadko dojrzewa w głowie jowiszowej. Nowe potrzebuje między innymi polityków dla postawienia pewnych hipotez, pewnych próbnych wniosków, pewnych idei, które mogą choć nie muszą w końcu okazać się prawdziwymi, ale które umożliwiają ruch naprzód, ku nowym perspektywom naszego świata.

Poniższy artykuł jest taką właśnie próbą w przedmiocie dotyczącym każdego obywatela - ekonomii. Przedstawione idee znajdują się w stadium formułowania, wypróbowywania. Niektóre mogą byc niejasne, inne mogą okazać się wskazówkami fałszywymi. Wszystkie jednakże stanowią próbę wykroczenia poza zwyczajowy schemat ekonomicznej dyskusji koncentrującej się na problemach struktury podatków, stopy zysku, podaży pieniądza i deficytu budżetowego. Są to oczywiście problemy istotne. Lecz rozpatrywane razem czy też osobno wydają się mijać z celem działalności ekonomicznej - jakością naszego życia.

W jaki sposób możemy uważniej przyjrzeć się "ekonomii politycznej" ekonomii? Dobry punkt wyjścia stanowi uzmysłowienie sobie faktu, że wszelkie polityki społeczne od przynajmniej wieku /a możliwe, że i dalej/ zawiodły w sensie kulturowym i społecznym. Narodom powodziło się ekonomicznie - tak w sensie wzrostu jak i dystrybucji dobrobytu - - jedynie po to, aby narastało, a nie zmniejszało się społeczne niezadowolenie. Sukces gospodarczy wiktoriańskiej Europy wywołał niewykłe niezadowolenie wśród praktycznie wszystkich klas społecznych co doprowadziło do poważnego zachwiania równowagi. W Ameryce sukces lat 50-tych poprzedzał powszechne niepokoje społeczne lat 60-tych. Najbardziej niezadowolonych stanowiło wielu z tych, którym wzrost gospodarczy dał najwięcej.

Zagubiono coś bardzo podstawowego, fundamentalnego; sukces nie był sukcesem. "Więcej" przestało wystarczać. Sztuka produkowania i osiągania "więcej" nie jest dalej zasadą wiodącą. Wzrost gospodarczy jest istotny lecz jedynie jako środek, a nie cel sam w sobie.

Potrzebujemy reformy ekonomicznej- reformy, która dotrze do istoty społeczeństwa i ludzkiej kondycji. W jaki sposób możemy dojść do sformułowania nowych pytań- pytań, które mogą prowadzić do reformy zasad ekonomii nami rządzącej? Historia pozostaje jedyną realną "bazą danych" ludzkiej natury i reforma ekonomiczna musi czerpać z historii.

Do czasów rewolucji przemysłowej społeczeństwa zachodnie charakteryzował wysoki stopień stabilności. Ludzie rodzili się, żyli i umierali w tej samej wiosce czy mieście, pomiędzy swymi sąsiadami, często przez pokolenia wykonując rodzinne rzemiosło czy zawód. Ta równowaga przez pokolenia stworzyła szereg ogólnych zależności i relacji. W ciągu całego życia jednostki, ci sami ludzie byli przyjaciółmi, współpracownikami, współwyznawcami itd. Społeczeństwo tradycyjne zostało znakomicie opisane przez Edmunda Burke'a poprzez analogię do wielkiego, starego drzewa. Wzajemne relacje między ludźmi były jak plątanina korzeni wspierających pień i koronę tego drzewa.

Lecz industrializacja rozbiła społeczeństwo tradycyjne. Wraz ze swoim zapotrzebowaniem na fizyczną i społeczną mobilność, rozprężeniem wspólnot wiejskich, segregacją życia osobistego i zawodowego, mieszaniem ludzi różnego pochodzenia oraz brakiem zainteresowania dla czegokolwiek innego od ilości produkowanych dóbr, industrializacja zastąpiła istniejące relacje ogólne zależnościami f u n k c j o n a l n y m i. Widzimy teraz część ludzi w domach, część na swoich stanowiskach pracy; przemieszczamy się często; rodzina wielopokoleniowa staje się formą szczątkową; dzieci żyją w innym niż ich rodzice świecie. Wielu z nas pełni szereg ról w trakcie swego życia. Gdy industrializacja przynosiła dobrobyt, powodowała także zubożenie indywidualnego i zbiorowego ducha.

Lecz industrializm był przyczyną narodzin nowej dyspypliny - ekonomii. Rzecz jasna rozważania nad produkcją, konsumpcją i dystrybucją dóbr i usług jako przedmiotami polityki państwa nie rozpoczęły się wraz z rewolucją przemysłową. Lecz ekonomia w swoim nowoczesnym wydaniu narodziła się wraz z industrializmem w wieku XVIII. Zdefiniowała człowieka jako stworzenie ekonomiczne - stworzenie napędzane prawie wyłącznie potrzebami materialnymi, dokonujące racjonalnych wyborów, mówiąc słowami XIX-wiecznego ekonomisty Stanley'a Jevonsa: "zaspakajającego w maksymalnym stopniu swoje potrzeby za pomocą minimalnego wysiłku".

Na nieszczęście ekonomii ten "homo oeconomicus" nie istnieje. Nie jesteśmy określani naszą własnością. Nasza wizja sięga poza horyzont materialny. Ilościowe instrumenty ekonomiczne nie mogą określać ducha człowieka. Pragnienie dobra, poszukiwanie prawdy i umiłowanie piękna - wszystko to wzbija się ponad wąskie ramy materializmu.

Oczywiście bez gospodarczego rozkwitu nie możemy wyjść naprzeciw potrzebom człowieka. Lecz materialna "prosperity" nie stanowi celu. Nie jest, sama w sobie, warta zachodu. Tennyson pisał: " Nie wiemy dlaczego nas stworzyłeś. Wydaje nam się, że nie po to, abyśmy umierali...". I mógłby dodać w naszych industrialnych czasach: "Wydaje nam się, że nie zostaliśmy stworzeni jedynie aby posiadać lub aby być rządzonymi tylko przez statyczną miarę dyscypliny ograniczającej się do zasad produkcji i konsumpcji".

W miarę ewolucji wieku przemysłowego od jego dziecka - ekonomii - - oczekiwano coraz to nowych teorii, które utrzymywałyby pracę tego gigantycznego motoru. Jednocześnie znajdujemy ekonomię jako niedostateczną podstawę rządzenia. Używając języka ekonomistów, tradycyjna ekonomia jest konieczna ale nie wystarczająca.

Co mogłoby być wystarczającym? Być może trzeba nam, jak twierdzi Theodore Roszak "szlachetniejszej ekonomii, która nie obawia się rozpatrywać kwestii duszy i sumienia, moralności i sensu życia; ekonomii, która zmierza do edukacji i rozwoju jednostek, a nie tylko do badania ich najpospolitszych zachowań".

W tym znaczeniu, ta głęboka i bogata ekonomia byłaby tak różna od tej, znanej dzisiaj, że być może potrzebny jest nowy termin. Potrzebujemy bogatszego od "ekonomii" pojęcia na określenie, opisanie wszystkich podstaw rządzenia i polityki społecznej. Dobrym terminem mogłaby być "sztuka rządzenia państwem" /statecraft/. Owa sztuka winna sprawić, że polityka społeczna stałaby się wrażliwa, czuła na głębsze niż żądza pieniądza, motywacje. Winna spróbować odpowiedzieć na pytanie o sens zwalczania inflacji, redukowania stopy zysku czy tworzenia nowych miejsc pracy jeśli nie potrafimy cieszyć się z tego co mamy, co robimy lub nie zauważamy ogólniejszych narodowych i kulturowych celów.

Definiowanie "sztuki rządzenia" winniśmy rozpocząć od rozpoznania ludzkich aspiracji wykraczających poza potrzeby materialne. Dla owych aspiracji należy przyjąć następujące punkty wyjścia:

- poczucie celu i wizja przyszłości. Wszyscy potrzebujemy perspektywy miejsca i czasu naszej egzystencji, zrozumienia kierunku w jakim zmierzają jednostki i naród;

- możliwość twórczej aktywności. Wzrasta społeczne zapotrzebowanie na poszerzenie uczestnictwa w kształtowaniu warunków naszej pracy, ich weryfikację pod kątem kształtowania i prowadzenia działalności naszych instytucji;

- możliwość rozwoju osobowości, kontynuowania i nawracania do nauki, dostępu do nowych informacji i doświadczeń;

- autonomia lub odrębność - potrzeba kształtowania naszego życia jako jednostek i jako wspólnot w ramach wolności konstytucyjnych;

Aby uzyskać szansę realizacji powyższych aspiracji, a także aby nadać treść koncepcji "sztuki rządzenia państwem" musimy wziąć pod uwagę jeszcze szereg innych zagadnień.

Po pierwsze, decentralizacja. Przestrzeń dla rozwoju jednostki jest zapewniona w ramach małych zespołów, zbiorowości. Jak powiedział jeden, mądrzejszy od innych, socjolog: "nie możesz studiować ludzi, możesz ich najwyżej poznać". Kontrola w polityce, wydarzeniach społecznych i kulturalnych, a także w świecie biznesu przeprowadzana na szczeblu lokalnym - musi stać się zagadnieniem głównym.

Po drugie, wspólnota. Aby w miejsce izolacji przyszło bogactwo form naszego życia osobistego musimy zezwolić na rozwój wspólnot. Polityka ekonomiczna - na szczeblu narodowym czy lokalnym - która niszczy wspólnoty jest polityką destrukcyjną w stosunku do ludzkiej duszy, jakkolwiek "wydajną" by się nie okazywała.

Po trzecie, kontrolowana zmiana. Nie można uniknąć zmian. Lecz przyszli historycy mogą się zdziwić jeśli wiek XX doprowadzi do zbiorowego szaleństwa przy pomocy zadziwiającej szybkości zmian. Musimy zmiany kontrolować i nie pozwalać im kontrolować nas. Trzeba dać szansę trwaniu przez pokolenia. Technologia musi dostosować się do realiów ludzkiego życia, a nie odwrotnie.

Po czwarte, musimy zakwestionować najświętszą z krów współczesności, pogląd, że "nie można cofnąć wskazówek zegara". Rzecz jasna w wielu dziedzinach nie chcielibyśmy powrotu do przeszłych praktyk. Dokonaliśmy prawdziwego postępu w każdej dziedzinie życia, od praw obywatelskich do podniesienia stanu sanitarnego. Lecz na niektórych polach, włączając w to tak zróżnicowane dziedziny jak transport publiczny czy sztuka twierdzenie, że straciliśmy więcej niż żeśmy otrzymali zyskuje aktualność. Nawet w tych dziedzinach próby cofnięcia wskazówek zegara nie będą prostą reprodukcją przeszłości. Lecz spojrzenie wstecz może dostarczyć nam punktu odniesienia. Historycznie rzecz ujmując, wiele poważnych ruchów progresywnych było próbami powrotu do przeszłości. Renesans stanowić tutaj może dobry przykład.

Po piąte, większą uwagę musimy poświęcić estetyce. Każdy, kto obcuje z architektonicznymi potwornościami naszych miast plugawiącymi nasze centra i przedmieścia wie jak istotną jest estetyka. Próba Johna Ruskina aby połączyć ekonomię z estetyką może nie okazać się wcale taką ślepą uliczką, za jaką większość ekonomistów klasycznych ją uważała.

Po szóste, musimy zwrócić baczniejszą uwagę na humanitarną stronę procesów produkcyjnych. Nie możemy oczekiwać sukcesu naszego społeczeństwa jeśli większość posad wynagradzanych jest jedynie za pomocą pensji. Być może średniowieczne cechy rzemieślnicze wiedziały o czymś, o czym my zdążyliśmy zapomnieć: o nagrodzie dobrze wykonanej pracy,

pracy dającej możność tworzenia, wymagającej i prezentującej jednocześnie prawdziwy artyzm, będący równie istotny jak efektywność przedsiębiorstwa. W rzeczywistości taka praca może tylko tę efektywność zwiększyć. Udzielenie pracownikom szerszych uprawnień na ich stanowiskach pracy może przynosić większą korzyść z punktu widzenia produktywności niż zastępowanie ich robotami przemysłowymi.

Po siódme i ostatnie, musimy w nieco odmienny sposób pomyśleć o nauczaniu. Jest to być może czynnik najistotniejszy. Ortega y Gasset w swoim klasycznym "Buncie mas" ostrzegał, że XX-wieczny człowiek staje się technologicznym barbarzyńcą. Potrafimy naciskać guziki naszych maszyn lecz nie potrafimy spojrzeć na siebie samych lub na świat w jakimkolwiek związku ponieważ jesteśmy źle wyedukowani. Edukacja to nie szkolenie, chociaż wyszkolenie też jest cennym. Edukacja oznacza w istocie edukację klasyczną, udzielającą nam wiedzy o naszej kulturze, wartościach, o tym dlaczego te wartości są ważne, o przygotowanym przez przodków gruncie, na którym obecnie stoimy. Polega głównie na studiowaniu historii i literatury. Uczy nas matematyki i techniki nie po to aby uczynić z nas techników lecz aby nauczyć nas myśleć logicznie. Taka edukacja musi zostać przywrócona - najpierw wśród edukujących. Bez tego nie możemy marzyć o społeczeństwie, które nie kołebałoby się bezwolnie od kryzysu do kryzysu, niezdolne do stwierdzenia miejsca, w którym się znajduje i kierunku w jakim podąży.

Skoro rozwinęliśmy tutaj jakości konstytuujące sztukę rządzenia państwem, co powinniśmy starać się z nimi uczynić? Naszym naczelnym zadaniem jest odnieść je do technologii, dobrobytu i wzrostu, które muszą pozostać istotnymi elementami naszego ustroju społecznego. Nie chodzi tutaj o odrzucenie technologii czy wzrostu lecz o wykorzystanie ich w ramach wspomnianej sztuki rządzenia - sterowanie i kontrolowanie ich, a nie pozostawanie sterowanym i kontrolowanym przez nie. Możnaby rzec, że naszym zadaniem jest ich ucywilizowanie.

Czy faktycznie możemy użyć siedmiu wspomnianych wyżej zagadnień w wyznaczaniu zrębów prawdziwej polityki? Dlaczegóż by nie? Czy nie bardziej sensownym jest konstruowanie systemu komunikacji miejskiej z punktu widzenia potrzeb wspólnoty i estetyki niż systemu, który jest jedynie technicznie sprawny? Czy system szkolenia zawodowego nie byłby efektywniejszy gdyby brał pod uwagę nasze oczekiwania związane z przyszłym zawodem? Zauważyliśmy już na wielu przykładach, że zdecentralizowany system podejmowania decyzji tak w polityce jak i w interesach prowadzi do wzrostu satysfakcji i lepszych wyników.

Duży naród musi mieć dużą swobodę, w ramach której rządzi się sam. Ekonomia tradycyjna ze swym jednowymiarowym "homo oeconomicus" jest po prostu niewystarczająca. Musimy pomyśleć o nowych, szerszych i najbardziej fundamentalnych ramach zawierających w sobie nie tylko ekonomię ale także szerszy kontekst naszych wartości, kultury i pozamaterialnych potrzeb. Jest to o wiele więcej niż ten krótki artykuł mógłby uczynić lecz niech stanowi początek, wezwanie do podjęcia zagadnienia●

Gary HART

/powyższy tekst ukazał się w n-rze 3 "Journal of Family and Culture", jesień 1985. Tłum. W.H./

S.Q.JONES

Zagraj to jeszcze raz, Cory

Ferdinand Marcos, "skorumpowany dyktator", opuścił Filipiny a cała prasa wiwatuje. W rzadko spotykanej chwili harmonii tak Washington Times, jak i Washington Post pieją z zachwytu.

W jakiś sposób melodia ta wywołuje wspomnienia - czy nie brzmi ona znajomo? W 1959 roku p.Castro wygnał innego "skorumpowanego dyktatora" i obiecał wolne wybory w ciągu 12 miesięcy. Minęło już 27 lat a my wciąż czekamy, chociaż nie z zapartym tchem.

W 1979 roku Sandiniści wygnali "skorumpowanego dyktatora" z Nikaragui otwarcie obiecując tak niezaangażowaną politykę zagraniczną, jak i wolne wybory. Przez ostatnie 7 lat byliśmy świadkami stłumienia działalności wszystkich partii politycznych, włączając w to większą - nie leninowską - część ruchu Sandinistów, brutalnego cenzurowania prasy, likwidacji radia katolickiego, ograniczania wszystkich swobód obywatelskich, bombardowania i zagładzania tubylczych Indian oraz wynoszącej około 500 mln dolarów sowieckiej pomocy wojskowej.

Rok 1979 był także rokiem odejścia jeszcze jednego "skorumpowanego dyktatora" - szacha Iranu, które wywołało nieoczekiwane konsekwencje. Siedem lat później blisko pół miliona Irańczyków zginęło w czasie dziwnej wojennej przygody, w której liczba ofiar tysiąckrotnie przekracza liczbę tych, których szach wysłał na tamten świat i jest ośmiokrotnie większa niż straty USA w czasie całej interwencji w Wietnamie.

Podsumowując, przez ostatnie 15 lat byliśmy świadkami wygnania "skorumpowanych dyktatur" przez Ludowych Przywódców w Angoli, Mozambiku, południowej Rodezji, Sudanie, Etiopii, Afganistanie, Jemenie, Madagaskarze i na półwyspie indochińskim. W czasie gdy uśmiechano się do fotoreporterów i ofiarowywano demagogiczne argumenty za rewolucją chętnej prasie, te wcielenia historycznej konieczności zdołały jedynie zastąpić istniejące mechanizmy umiarkowanej represji politycznej na lśniące ostrze totalitarnego komunizmu, tępione w Nikaragui i Afganistanie przez ruchy wolnościowe, które odrzucały pomoc z Waszyngtonu.

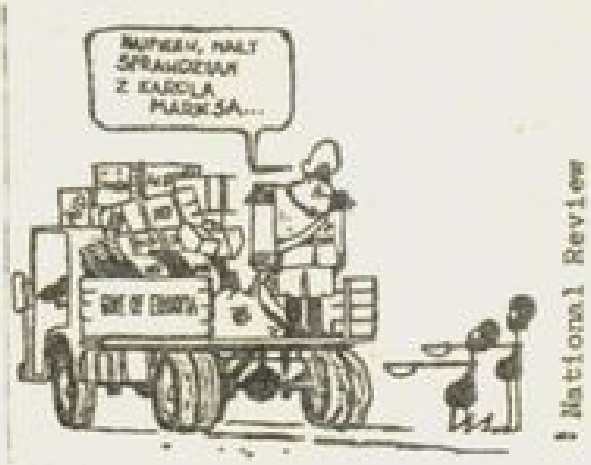

© National Review

A teraz pani Aquino. W swym pośpiechu aby zapewnić sobie miejsce w demokratycznym panteonie jednostronnie zawiesiła filipińską konstytucję, odrzuciła ideę konstytucyjnego zgromadzenia pochodzącego z wyboru i wezwała wszystlich lokalnych burmistrzów i Sąd Najwyższy aby przekazali część swych uprawnień na rzecz jej stanowiska. Prócz tego zwolniła wszystkich więźniów politycznych włączając w to liderów i twórców partii komunistycznej, której "Nowa Armia Ludowa" przyswoiła sobie zwyczaj likwidacji osób cywilnych, co zostało udokumentowane. Obiecała wolne wybory w ciągu 10 miesięcy. Stanowi to wynik o dwa miesiące lepszy od p.Castro w podobnym punkcie jego kariery.

Washington Times zauważył, że nowy reżym Aquino jest rewolucyjny we wszystkim prócz swej nazwy. Kiedy "Cory" ze swoim skromnym uśmiechem

i nieśmiałym wdziękiem, wymienia starych generałów Marcosa, Enrile i Ramosa, człowiekiem, który oświadcza, że NAL jest prześladowana, szanse Filipińczyków na realizację wolnych wyborów i wszelkich nadziei jakie kiedykolwiek posiadali, znikają.

I, rzecz jasna, znowu zabrzmi muzyka, lecz będą to tony miłe Moskwie i Hawanie, a New York Times wyrazi swoje zaskoczenie i konsternację●

Serendipity Q.JONES

Powyższy artykuł pochodzi ze studenckiego pisma CALIFORNIA REVIEW 5/86 wydawanego na uniwersytecie kalifornijskim od 1982 roku.

Przedstawiamy...

CATO INSTITUTE powstały w roku 1977 jest niezależną fundacją badającą problemy polityki społecznej z siedzibą w Waszyngtonie. Nazwa Instytutu pochodzi od tytułu pamfletu /Cato's Letters/ stworzonego przez anonimowego obrońcę wolności, który to utwór dał filozoficzną podstawę dla Rewolucji Amerykańskiej. Zamierzeniem instytutu jest rozszerzenie zakresu debaty nad kształtem polityki społecznej o tradycyjnie amerykańskie zasady ograniczonego rządu, wolności jednostki i pokoju. Dla osiągnięcia tego celu Instytut przyjął koncepcję szerokiego programu wydawniczego. Jego książki, monografie, krótkie raporty koncentrują się na analizie budżetu federalnego, świadczeń społecznych, polityki monetarnej, gospodarki bogactwami naturalnymi, wydatków militarnych, polityki NATO, handlu międzynarodowego i wielu innych. Każdego roku Instytut organizuje wiele konferencji naukowych, z których materiały publikowane są trzy razy w roku w "THE CATO JOURNAL". Instytut utrzymuje nieformalne więzi z John Hopkins University Press. W obronie swej niezależności Instytut nie korzysta z żadnych rządowych dotacji. Środki gromadzone są od korporacji, innych fundacji i osób prywatnych a także ze sprzedaży wydawnictw własnych. Instytut jest organizacją niedochodową, fundacją edukacyjną zwolnioną od podatków.

CATO INSTITUTE
224 Second Street, S.E.
Washington,D.C. 20003
U.S.A.

POGLĄDY WYRAŻANE NA ŁAMACH «KONARA» SĄ POGLĄDAMI AUTORÓW I NIE ZAWSZE ODZWIERCIEDLAJĄ PUNKT WIDZENIA REDAKCJI.

Edmund NOWAK

Zła passa nas nie opuszcza. Po Edwardzie Lipińskim i Jerzym Łojku grono sygnatariuszy Deklaracji Narodowej Federacji na rzecz Wolnej Gospodarki opuścił na zawsze Edmund Nowak.

Był to człowiek co się zowie kontrowersyjny. Urodzony Wielkopolanin, odznaczał się uporem w dążeniu do realizacji swych koncepcji - a jednocześnie stosował całą gamę elastycznych środków taktycznych. Jego nietypowość była tak wielka, że do dziś nie wiadomo, czy jego działalność jako wynalazcy była warta rozgłosu, jaki wywołała. W każdym razie: prasy hydrauliczne Nowaka szły jak woda na eksport, zarówno na rynek sowiecki, jak i na zachodnie - a jednocześnie cała prawie prasa w okresie "Solidarności" pełna była sprawy Nowaka: został zdjęty ze stanowiska dyrektora "Hydomatu" na zgodny wniosek "Solidarności" i PZPR. Opinie: "geniusz" i "hochsztapler" krzyżowały się w powietrzu - i jeśli nie cała Polska była tym poruszona, to tylko dlatego, że jednocześnie działo się wiele innych ciekawych rzeczy.

Po grudniowym pronunciamento inż.Nowak odzyskał stanowisko - ale nie odzyskał zdrowia. Do kłopotów zawodowych doszły osobiste - i w końcu długa choroba zabrała Go spośród nas.

Edmund Nowak był typowym tylko jako manager. Wyznawał jawnie mało dziś popularne idee Henryka Forda: "Demokracja poza murami fabryki - a na terenie absolutna dyscyplina". W ten sposób uzyskiwał sukcesy - ale nie zyskał sobie popularności. Mimo to nie ustępował na krok. Twierdził, że istnieją rozmaite typy robotników: jedni lubią wykazywać się inwencją - a inni lubią po prostu wykonywać zadaną robotę. Są też różni managerzy - i trzeba tylko, by właściwi kierownicy otrzymali właściwy zespół ludzi. O to troszczy się już wolny rynek pracy, z możliwym, choć nie koniecznym, bezrobociem. Robotnik dobrowolnie przystępując do pracy w "faszystowskiej" fabryce nie może narzekać na utratę wolności - podobnie, jak nie może się na to skarżyć osoba, która dobrowolnie wsiadła na karuzelę. Jeśli fabryki "demokratyczne" na wolnym rynku wyprą autorytarne - będzie to dowód, że w ówczesnych warunkach te drugie są niewłaściwe. Nowak twierdził jednak stanowczo, że w dalszym ciągu jest dla nich miejsce pod słońcem - i zawsze będą istnieli ludzie pragnący dobrze zarobić, a nie lubiący lub nie umiejący główkować.

W Polsce koncepcja Nowaka wyglądała księżycowo wobec wyroków sądów przywracających do pracy wyrzuconych robotników i inżynierów. Takie działanie - zdaniem Nowaka - uniemożliwiało i uniemożliwia racjonalną selekcję kadry: robotnicy samodzielni męczą się z szefem-autokratą - a robotnicy bez inicjatywy mają szefa, który daremnie wyczekuje od nich sugestii. Z tym absurdem Nowak chciał skończyć.

Jako środek taktyczny dyr.Nowak propagował zakładanie nie związków lub stowarzyszeń demokratycznych - a sieci klubów rotariańskich. Byłby zapewne zadowolony, że dziennikarze "Polityki" nawiązali już kontakty z jakimś "Rotary Club" w Anglii. Tę formę - istniejącą już w Polsce przed wojną, lecz w postaci szczątkowej, uważał za owocną. Zobaczymy!

Szkoda, że On już tego nie zobaczy!

* Pytanie:

Ostatnio prasa, także polska, donosi, że policja szwedzka nadal szuka zabójców Olafa Palme. Nowy premier polecił sprawdzić wszystkie /??/ 90 hipotez dotyczących mniemanych zabójców.

Pytamy:

Czy uwzględniono zasadę: "Is fecit cui prodest"?

Poziśmy hipotezy związane z prywatnym życiem Nieboszczyka. Kto - politycznie - najwięcej skorzystał na Jego śmierci?

Cała prasa jest zgodna, że po tym zamachu wybitnie wzmocniła się pozycja socjal-demokratów. Przed zabójstwem było niemal pewne, że ewentualne wybory przegrają z kretesem. Na dobitkę Palme był już zużytą kartą, a nawet obciążeniem w związku z nieco zaszarganą przeszłością. Obecnie mit i współczucie dają socjal-demokratom pewność sukcesu - i centro-prawica nawet nie ośmiela się domagać nowych wyborów. Socjal-demokraci mają Męczennika - i dzięki temu agonia lewicy odciągnie się jeszcze o kilkanaście miesięcy.

Nie twierdzimy, że Olaf Palme został zamordowany przez swoich Parteigenossen; pytamy skromnie: czy ta hipoteza została w ogóle wzięta pod uwagę? A może nawet rozpatrywana jako pierwsza? Pierwsza - gdyż zgodnie z klasyczną zasadą najprawdopodobniejsza; mało prawdopodobna - bo tylko jedna z 90-ciu. Czy z 91?

Pytamy więc następcy Palmego: została rozpatrzona - czy nie? Czy nieudolność szwedzkiej policji tłumaczy się tym, że zależy ona od rządzącej partii - czy po prostu tym, że jest to policja socjalistyczna?

?

Czcigodni Koledzy z "KONAR"-u! To, że nie tłumaczycie większości imion - to Wasza sprawa. To, że Artur Koestler ucieka przez Lisbonę - też. Ale na litość Boską nie każ Czytelnikom zgadywać, że sławetny Włodzimierz Żabotyński kryje się u Was pod pseudonim Vladimir Jabotinsky!

Z maoistowskim pozdrowieniem

redakcja Si-Taff Chi-Kab

Już wkrótce!

NAKŁADEM
OFFICYNY
LIBERAŁÓW

"CNOTA EGOIZMU"
AYN RAND

Służba poborowych -

Tekst zdjęty przez Cenzurę Wojskową z 11.go n-ru "POLITYKI"; przedostatni akapit był skreślony przez Redakcję.

W "POLITYCE" 7/87 ukazał się b. rzeczowy list p.gen.bryg.prof. dr hab. Lesława Wojtasika, rzecznika MON, wyjaśniający politykę resortu w drażliwej kwestii poboru. Polityka ta jest jasna - a jej obrona przekonująca. Kwestie wynikają jedynie stąd, że MON politykę tę stara się realizować przy nader niekonsekwentnym ustawodawstwie. Chciałbym więc sprawę tę ująć nieco szerzej.

Od 1923 roku nie ukazała się w Polsce ani jedna praca o podatkach. Stąd wiedza społeczeństwa - i samych naukowców - o podatkach jest znikoma. W szczególności mało kto zdaje sobie sprawę, że pobór do wojska j e s t p o d a t k i e m - tyle, że płaconym w naturze.

Zważywszy, że młody człowiek w pełni sił łatwo może zarobić miesięcznie 40 tys. zł., trzyletnia służba oznacza podatek w wysokości półtora miliona złotych /dwa razy tyle płaci gospodarka, która nie pobiera odeń przez ten czas żadnych podatków: bezpośrednich, inflacyjnych lub konsumpcyjnych - ale to już nie obchodzi poborowego/. Z drugiej strony trzeba jednak odjąć koszty wyżywienia, część kosztów zakwaterowania - no, i koszt wyszkolenia, gdyż bardzo wielu poborowych zdobywa jeśli nie fach, to doświadczenie przydatne w późniejszym życiu cywilnym. Średnio powiedzieć można, że taki podatek w naturze równoważny jest ok. milionowi złotych.

Przyjmuję - jak rozumiem, razem z p.PT Wojtasikiem - że w obecnej sytuacji politycznej jest to wydatek konieczny. Proszę jednak zauważyć, że przy tym ujęciu obecny system jawi się jako głęboko n i e s p r a w i e d l i w y . Po prostu każda decyzja zwolnienia od poboru to prezent w postaci miliona złotych!

Uważam, że jeśli komuś z jakichś powodów: gospodarczych czy politycznych, ideowych lub religijnych - tak bardzo zależy na nieodbyciu służby wojskowej, to powinien on zdać sobie sprawę, że domaga się od państwa nie "zwolnienia" lecz przywileju w określonej szacunkowo wysokości. I - jeśli tak bardzo mu na tym zależy - to niech płaci!

Rolnik - jeśli jego obecność w gospodarstwie jest tak bardzo potrzebna - może wziąć pożyczkę i spłacać ją w ratach. Ale s p ł a c a ć ! Wówczas będzie on miał podstawy do racjonalnej kalkulacji, czy jego obecność w wojsku jest ważniejsza, niż w gospodarstwie. Obecnie k a ż d e m u opłaca się prosić o zwolnienie - gdyż jest to przywilej "za darmo".

Mam wielki szacunek dla członków Komisji Poborowych, które starają się być sprawiedliwe - ale po prostu nie mogą, gdyż znajdują się w sytuacji "wszystko-albo-nic". Byłoby znacznie lepiej, by sam poborowy decydował i to wyłącznie o różnicy, fachowo zwanej zarginalną: między kosztem poboru, a spłatą owego miliona.

Z miejsca okazałoby się, że postawy "ideologiczne" niektórych poborowych są generowane ekonomicznie, o czym oni sami nie wiedzą. Tak się bowiem składa, że gdy coś jest w naszym interesie /a nie bardzo chcemy się do tego przyznać nawet przed sobą/ to już nasz umysł znajduje jakieś ładne usprawiedliwienie. Bardzo bowiem ładnie się deklaruje: "Nie wezmę broni do ręki za żadną cenę". Gdy jednak się okaże, że nikt za to nie wsadza do więzienia, a owa "każda cena" to po prostu milion złotych, które trzeba zapracować i zapłacić - to problem straci wymiar diaboliczny. Ci natomiast, którzy motywują swą niechęć do odbycia służby w wojsku względami gospodarczymi - a jest ich wielekroć więcej - przekalkulują to sobie w ramach rachunku optymalizacyjnego i wielu zrezygnuje. Oczywiście zrezygnują ci, których praca jest mniej wydajna, a więc korzyść społeczna z ich zwolnienia - mniejsza. Przy tym system ten obejmie wszystkich - gdyż

p.gen.Wojtasik ma świętą rację pisząc, iż nie ma racjonalnych powodów, by rolników indywidualnych traktować inaczej, niż pozostałe grupy ludności. Placówka handlowa i rzemieślnicza oparta na tradycji też może podupaść, gdy produkcja zostanie przerwana na trzy lata - i opłacalnym może okazać się zapłacenie. Musi to być suma realna - ale dostatecznie duża.

Ów podejrzanie wyglądający milion to szacunek obiektywny, a więc zły. Ile powinna wynieść wysokość takiego "wykupu"? Ależ - zgodnie z zasadami reformy - tyle, aby wojsko miało dokładnie tylu kandydatów, ilu potrzebuje. Jeśli zbyt wielu by się wykupywało - trzeba podwyższyć; jeśli zbyt mało - obniżyć. I tyle.

Chcę przy tym stanowczo odrzucić argument, że byłoby to "z korzyścią" dla bogatych. Po pierwsze: bogaci lepiej znają wartość pieniądza i lekkomyślnie go nie wydają. Po drugie: jaka to "korzyść"? Historia wykazuje, że grupy, które uciekały od służby w wojsku, prędko traciły wpływy w społeczeństwie - i, szczerze pisząc, nieco mnie to niepokoi, gdyż uważam, że zamożni obywatele mają zbyt z a ł y wpływ na społeczeństwa dzisiejsze. Wierzę jednak w ich rozsądek.

W naszym społeczeństwie nadal utrzymuje się przekonanie, że służba w wojsku jest dla młodego człowieka korzystna. Jeśli jednak n i e o d b y c i e tej służby będzie nadal wysoko premiowane przez państwo, to przekonanie to dość prędko ulegnie erozji, która j u ż daje się zauważać. Niestety: byt określa świadomość...

Janusz Korwin Mikke

...i Jego KOMENTARZ

Cenzura wojskowa dopatrzyła się w tym tekście zamachu na pobór wojskowy. Całkowicie niesłusznie! Intencją moją było wskazanie, że p e w n a liczba poborowych jest ze służby mimo wszystko zwalniana - a kryteria są dowolne, gdyż jak porównać zaświadczenie Kowalskiego z Urzędu Gminy Kowale Wielkie z zaświadczeniem wystawionym Zielińskiemu przez urzędnika gminy Zielonka?? Kto porówna, który jest bardziej potrzebny w swoim gospodarstwie?

Proponowałem kryterium jednolite i jedynie rozsądne. Przy okazji rozwiązywało ono problem ludzi odmawiających służby z powodów ideologicznych. Problem to ilościowo drobny - ale moralnie wielki. Praktyka /np.RFN/ wskazuje, że polityka udzielania zwolnień doprowadzi do korupcji moralnej, tzn. ludzie będą udawać, że są pacyfistami, Świadkami Jehowy itp.

Natomiast korupcja ekonomiczna - choć na szczęście niezbyt nasilona - już jest faktem. P.gen.Wojtasik - z którym rozmawiałem w sprawie tego tekstu - nawet nie zdaje sobie sprawy, że naraża się na zarzut, że... osłania skorumpowanych lekarzy z komisji i skorumpowanych urzędników reklamujących swoich ludzi. Nawet zie za pieniądze: działa swoisty patriotyzm gminny - czemu ma iść nasz człowiek i walić się nasze gospodarstwo, psując nasze statystyki?!?

Oczywiście wiem, że p.gen.Wojtasik n i e jest opłacany przez lobby skorumpowanych lekarzy! Kto jednak wie, czy podświadomość nie podpowiada Mu, że jeśli setki tysięcy zaczną wpływać do kasy państwowej zamiast do kieszeni prywatnych - te lekarze powciekają z wojska? Kto zna nawet s w o j ą podświadomość?

Można by pomyśleć, że generałowie obawiają się, iż w wyniku proponowanego systemu bogaci się wykupią, wojsko zostanie opanowane przez biedotę - i prywaciarze stracą oparcie w siłach zbrojnych... Byłoby to logiczne - każdy chyba zgodzi się jednak, że taki zarzut byłby absurdalny. P.gen Wojtasik w każdym razie jest na pewno człowiekiem prostolinijnym - i wyłożył swoje stanowisko prosto: uważał, że taki system krzywdziłby biednych, gdyż budylarz bez mrugnięcia okiem wyłożyłby milion - a biedak by się nie wykupił.

Przy okazji zdradził On, że wojsko zwalnia 40% /czterdzieści procent!!/ poborowych z indywidualnych gospodarstw rolnych - a tylko →

Kapitalizm utopijny

Tekst zdjęty przez Cenzurę z "Tygodnika Powszechnego"22/86

Kolega Stefan Bratkowski zarzuca mi,że wraz z innymi kolegami lansujemy kapitalizm utopijny. Określenie jest piękne, więc czemu by nie? Utopijność naszego wzoru polega na tym, że na razie nie można go u nas wprowadzić. Ale pomarzyć można, choćby powołując się na Chińczyków. Chińczycy robią zazwyczaj to, co ja tylko i doradzam, tyle że z małym, 10-letnim opóźnieniem - ale wobec wieczności to drobiazg. O ile lat my opóźnimy się wobec Chińczyków - nad tym warto się zastanowić.

Oczywiście: postępować trzeba powoli, stopniowo, ostrożnie, bo przecież ludzie odwykli - i to zarówno ludzie na dole, jak i ludzie na górze. Obłaskawiać decydentów - też metoda. Na razie proponuję, aby spuścić wreszcie z uwięzi prawdziwe, indywidualne bodźce ekonomiczne. A jednocześnie ustać musi ślepe stosowanie skrajnej litery prawa, /lewa/, owe groteskowe wyroki za najdrobniejszy przejaw prywatnej inicjatywy handlowo-wymiennej: toć jawny absurd uzyplanie i odrętwianie społeczeństwa, gdy jednocześnie państwo wspaniałomyślnie handluje dewizami w Pewexach, czy Baltonach. Trwa u nas wciąż odgórne błaganie o lepszą, wydajniejszą pracę, lecz z błagań, próśb i zaklęć nic nie wychodzi, bo sposób na to jest tylko jeden: żeby ludzie czuli, że pracują na swoim i dla siebie. Tymczasem nasza propaganda z samobójczą konsekwencją działa akurat przeciwnie, obrzydza wszelkiego"prywaciarza" /a dlaczego nie i chłopa?/, stara się wzbudzić przekonanie, że każdy człowiek bogatszy, bo naprawdę żyjący z potrzebnej społeczeństwu produkcji, to nieuczciwy pasożyt, a w ogóle oszust i wróg. I niestety ten negatywny model to i ludzie chwyta, jedyny to widoczny "sukces" naszej propagandy. Nawet w wydanych za granicą pamiętnikach ozłocona "Solidarności" autor /Jarosław Mur/ skarży się, że w pewnym momencie interesowano go "tylko z cinkciarzami, narkomanami i prywaciarzami". Piękne zestawienie, wielki zaiste sukces propagandy pana Wieczorka! ☞

10% z PGR-ów... Zaoferowałem cokolwiek, że nie rozwiązanie tej kwestii, gdyż jest to rozdmuchiwanie zawiści między chłopami a resztą obywateli - ale Rzecznik MON oświadczył, że nie jest to wcale trafne /proszę to porównać z Jego tekstem w "POLITYCE"..../ Ech - dawno podejrzewałem, że gnębiona wieś ma jakieś koszmarne przywileje i horrendalnie została jakow podskórnie przywrócona!

Nie w tym jednak rzecz. Ów system podtrzymywania słabych gospodarstw jest wbrew reformie gospodarczej. Jest to - takie przypuszczenie - równoważne subwencji dla małych gospodarstw. A niby dlaczego tylko firmy państwowe mają bankrutować?!!? A niech rujnują się i chłopi, a ziemię ich niech kupują wydajniejsi gospodarze! Jestem zwolennikiem armii zawodowej - ale dopóki nie rezygnujemy z poboru - to ŻADNYCH PRZYWILEJÓW ! Dla nikogo! Zaś,ale zdrowe gospodarstwo powinno móc zaciągnąć na hipotekę pożyczkę na wykup - a jeśli nie zdoła jej spłacić, to pod młotek! Albo decyzja była błędna. Albo gospodarstwo niezdolne do istnienia w warunkach równej konkurencji!

Milion był symboliczny - i cały tekst jest taki. Jeśli cenzura wojskowa uważała, że pomysł jest zły /a nie upieram się, że jest on jedynie słuszny.../ to powinna go przepuścić, a przynajmniej pozwolić był wdać się w polemikę. Co najmniej nad przedyskutować go w zamkniętym gronie - a nie ucinać dyskusji. Jeśli bowiem tak dalej pójdzie, to za pięć-dziesięć lat wszyscy zaczną się sięgać do worka - i nie wolno na to odpowiadać:"To za dziesięć lat będziemy myśleć, co zrobić". Dwoluocja postaw moralnych jest powolna - w obydwie strony. Polska jest ofiarą ludzkości - i ci, co nią władają, ponoszą za nią odpowiedzialność!

Jako militarysta nie chcę dopuścić, by za 10 lat jedyną sprawnie działającą jednostką armii była Cenzura - choćby i najcenniejsza! jk-m

Warto by wreszcie zastanowić się nad rzeczywistymi, psychologicznymi /to też realność, jeszcze jaka!/ rezultatami takiej propagandy, zwłaszcza na tle wyraźnej dziś ucieczki ludzi od etatowej, państwowej pracy - toć wszystkie wielkie zakłady płaczą, że brak im siły roboczej. Porównanie naszej sytuacji z sytuacją krajów wolnorynkowych przynosi nam szereg paradoksów. Na przykład:u nas pracę dostać łatwo, ale nikt specjalnie się o nią nie ubija, jest raczej słabo płatna, za to mało wydajna - zresztą częstokroć z przyczyn poniekąd"obiektywnych" /trudności surowcowe, kooperacyjne, przestoje etc./ Natomiast tam, na Zachodzie, przeciwnie: o pracę trudno, jest ciężka, ale wszyscy jej poszukują. Oczywiście, jakiś uporczywy krytyk kapitalizmu /są u nas ludzie,którzy żyją z tego abstrakcyjnego, bezinteresownego zajęcia/ powie, że w miarę postępu automatyzacji bezrobocie na Zachodzie będzie rosło, jakieś więc z tego wyjście. Zaproponuję mu, aby pozostawił to zmartwienie zainteresowanym, a sam zajął się próbą odpowiedzi na pytanie, co będzie rosło u nas jako rezultat zmiany przedsiębiorstw produkcyjnych w bezosobowe, kosztowne i niesprawne urzędy, czyli machiny urzędowe. I jako rezultat nierozważnej propagandy, zohydzającej typ człowieka produkującego i zarabiającego.

Skoro zaś jesteśmy już tutaj włączeni w też na pozór abstrakcyjną propagandę "kapitalizmu utopijnego" /każdy bawi się jak może, Obywatelu Redaktorze/, to zastanówmy się odrobinę nad "ethosem" dzisiejszego kapitalisty. Niedawno przeczytałem sobie gdzieś zdanie, że na Zachodzie dominuje "trzeźwo wyrachowana, bezgranicznie egoistyczna atmosfera współczesnego kapitalizmu, która postawiła na piedestale kult zysku". Zanalizujmy to zdanie, jest ciekawe. Przede wszystkim interesujące są zawarte tu implicite przeciwieństwa /teraz się w Polsce niemądrze mówi: "opozycje"/. Jeśli u nich kult zysku, to co u nas - kult straty?! Jeśli u nich wyrachowany egoizm, to u nas co - niezdarny altruizm?! I najważniejsza sprawa, problem nadmiernego zysku, czyli tzw. nadwartości. Kto tę nadwartość pożera, prywatny kapitalista? Po pierwsze, czysto indywidualne władanie środkami produkcji należy już i w gospodarce wolnorynkowej do przeszłości: są tam spółki,konsorcja, zbiorowe monopole, międzynarodowy "kapitał anonimowy" ect. A nawet indywidualny, kapitalistyczny rekin-krwiopijca trzech obiadów nie zje i piętnastu jachtów nie kupi. Co więc zrobi z"nadmiernym"zyskiem? Zainwestuje go w jakieś nowe przedsiębiorstwo, bo kapitał leżeć nie może. W ten sposób "nadwartość" /czy "wartość dodatkowa"/ tak czy owak wraca do społeczeństwa. A jak jest zainwestowana? Fachowo, bo przecież ten przeklęty zysk...

W rezultacie "prywatny" kapitalista inwestuje to, co zarobi, natomiast państwowy przedsiębiorca zainwestuje to, co mu wykroją i przeznaczą z budżetu. Przy czym, jak"prywaciarz" źle zainwestuje to straci i może zbankrutować, natomiast jak państwowiec pobłądzi, to nic mu się nie stanie, na pensję nikt mu nie wsiądzie, natomiast społeczeństwo zbiednieje.

Co więc lepsze - osądźcie sami. Pozostaje jednak jeszcze wzgląd ideologiczny, boć żyjemy przecież w kraju uideologicznionym, nie zaś bezideowo, jak kapitaliści. Lecz na tę sprawę jest pewien sposób. Jeśli zdecydujemy i uznamy, że nowoczesny uspołeczniony kapitalizm jest najnowszą, postępową fazą socjalizmu, wtedy wszystko będzie w porządku!

Tak zdaje się zdecydowali mądrzy Chińczycy, tradycyjny naród kupców.

"Chińczyki trzymają się mocno!"
Czego i wam życzę

Kisiel

●●●

NICZYJE

ŻYCIE, ZDROWIE I MIENIE

NIE JEST

BEZPIECZNE

GDY TRWA SESJA

SEJMU

(Parafraza hasła konserwatystów USA)

Druk na Galicję i Śląsk:
Niezależna Inicjatywa
Wydawnicza - Wrocław

Druk na resztę kraju
Wolna Drukarnia
im. Adama Heydla
WARSZAWA